

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 4 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

NR. 40

TREŚĆ NUMERU: Jak się zestarzeć — *M. Beniślarwska*. Zofja Urbanowska o sobie — *Zofja Urbanowska*. Uśmiech Marysi — *Felicja Kruszevska*. Czem się entuzjazmuje kobieta? (dok.) — *Hanka Kłosińska*. Jesienne zawody sportowe — *Emka*. Ś. p. Wanda Kwiatkowska — *Aniela Waldenbergowa*. Z teatrów — *Herminja Naglerowa*. Kobieta w świecie i w domu. Gospodarstwo kobiety pracującej zawodowo (c. d.) — *Jadwiga Kramczyńska*. Nieco o mleku w Ameryce — *M. Znatorwicz-Szczepańska*. Pierwszy Zjazd Pań Domu — *Wanda Dobrzańska*. Jak zabezpieczyć się przed otruciem grzybami — *Prof. F. Teodorowicz*. Jesienna selekcja drobiu w naszych kurnikach — *Z. P.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Praktyczne okrycia futrzane — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” (dokończenie) — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

JAK SIĘ ZESTARZEĆ

Bardzo niewielu ludzi jest w stanie wyrobić sobie obiektywny i trzeźwy sąd na własne swoje życie, jako na całość.

Dzieciństwo tonie w późniejszym sentymentalizmie, upatrując w niem przesadne idylle anielskości; młodość zabarwia się też wspomnieniami o sfalszowanej interpretacji faktów, a wiek dojrzały — „wiek klęski” — obraca tęskny wzrok wstecz, w te lata „dawnych dobrych czasów” — dobrych, bo z nich wypływały, straciły na walorze tony ciemnych przeżyć, a pozostały w pamięci jaskrawe — ale ongi wcale nie stałe — różowości chwilowych nastrojów. Tem skwapliwiej dojrzały wiek zalicza przeżyte lata do lat błogich, im mniej nadziei przynosi mu nadciągające już widmo starości.

Zastanawiając się jednak spokojnie i obiektywnie nad całokształtem wszystkich faz życia, przyjąć musimy do wniosku, że cierpienia i radości są tu rozłożone dosyć równomiernie, a przede wszystkim, że jedna epoka życia przygotowuje drugą, która jest jakoby jej wynikiem i owocem. Dzieciństwo, podczas którego formuje się osobowość człowieka, wpływa na jego młodość; młodość wraz z dzieciństwem tworzy w znacznej mierze warunki ułożenia się życia, człowieka dojrzałego, a całokształt trzech faz przeżytych przyczynia się do ukształtowania starości.

Ze wszystkich zasadniczych epok życia ludzkiego najgorszą opinię ma właśnie ta ostatnia — starość. Wielu nie przypuszcza nawet, żeby wogóle starość mogła mieć jakieś strony dodatnie.

Już w starożytności mawiano, że „umiłowani przez bogów umierają młodo”. W dawnych jednak

wiekach przypisywano większą wartość doświadczeniu długiego życia. Starzec był poniekąd *ipso facto* mędrce. Dziś warunki życiowe tak gruntownie zmieniają się z pokolenia na pokolenie, że ów balast doświadczeń nie jest gotową wartością do spożytkowania w praktyce; przeciwnie: nieprzerobiony myślowo, staje się raczej zawadą w przystosowaniu się do coraz to nowych wymogów współczesności. I tu jest, sądzę, w naszych czasach, jedna z przyczyn dewaluacji starości, na którą uskarżają się ludzie, nie umiejący się zestarzeć wśród warunków współczesnych.

Doświadczenie szeregu lat, mądrze przeżytych, jest i pozostanie zawsze cennym materiałem porównawczym, należy tylko zdać sobie sprawę, że to jedynie surowy materiał, że wysnuć z niego można cenną wiedzę, ale nie można dnia dzisiejszego wtłoczyć w koryto już przeżytego „wczoraj”; wtedy balast przestanie być balastem: stanie się cennym, nagromadzonym kapitałem.

Tyle da się powiedzieć o starości człowieka wogóle. Pewne jednak swoiste cechy ma specjalnie starość kobiety.

Dużo się dziś o tej właśnie starości mówi, myśli i pisze, przeważnie (może jedynie), by to konieczne „zło długiego życia” odsunąć, a nawet, jeśli można — znieść zupełnie.

Trzeba przyznać, że pierwsza część zadania — usunięcie, odroczenie starości — w znacznej mierze została osiągnięta.

W zeszłym wieku kobietę — zwłaszcza niezamężną — od lat 25-ciu uważano za starzejącą się; od 30-tu — za starą pannę, t. j. pannę, która już prawie nie

ma szans wyjścia zamaż. Coprawda, w owe czasy prababki nasze normalnie wychodziły zamaż w wieku 15 — 20 lat, a zdarzało się i wcześniej. Dziś warunki się zmieniły i kobieta zaczyna normalne życie płciowe przeważnie po 20-tym roku; jest też uważana za osobę *jeszcze* młodą do lat 40-tu i więcej, o ile chce i potrafi zachować zewnętrzne pozory młodości, lub nawet, przez rozsądną higienę, sporty etc., naprawdę fizycznie się nie postarzeć.

Pomimo wszystko jednak, kres istotnej, fizjologicznej starości przychodzi i musi przyjść, gdyż natura prawa swe zachowuje uparcie i nie dostosowuje ich do warunków nowych, stwarzanych z dnia na dzień przez kulturę.

Nie będzie więc rozsądnym dążenie do zniesienia starości wogóle, tylko raczej do usunięcia jej stron ujemnych, oraz naszego własnego uprzedzenia do starości, jako do klęski i nieszczęścia. Powiedzmy więc: dążyć należy do wyzyskania i tu ukrytych stron dodatnich, z których nie daje nam korzystać li-tylko uprzedzenie.

Przedewszystkiem tedy powiedzmy sobie, że od nas — od naszej młodości i lat dojrzałych — zależy zabarwienie nadchodzącej starości. Jeżeli jedyną i wyłączną racją bytu stało się dla kobiety podobanie się mężczyźnie i to specjalne „podobanie się” w znaczeniu budzenia erotyzmu mężczyzny, to oczywista, że z utratą możności owego podobania się nastąpi dla niej epoka dewaluacji, rozpaczliwej walki o zachowanie tego, co uchodzi, okrutnej i beznadziejnej tęsknoty za tem, co przeminęło bezpowrotnie.

Taka wiara w ostateczny zanik życia i szczęścia kobiety z chwilą utraty przez nią możności budzenia erotycznych podniet u mężczyzny — była objawem normalnym w czasach, kiedy kobieta uważała siebie — tak, jak i ją uważano — za rzecz, ku rozkoszy i pożytkowi męża uczynioną; dziś jest to przeżytek psychicznego nastawienia. Dziś kobieta dojrzała wie i czuje, że ma swoją własną, niezależną, wewnętrzną ludzką wartość; a jednak w dalszym ciągu obawia się najbardziej utraty swojej specyficznej — rzeczy można, erotycznej wartości.

A właśnie ten erotyzm nie da się zachować do końca życia, o ile sądzono nam żyć długo. Reszta nie-domogów i stron ujemnych podeszłego wieku — zarówno psychicznych, jak i fizycznych — da się zwalczyć w sposób przeróżny.

Nauka o higienie — sztuce utrzymania w dobrym stanie organizmu — wspomagana mało dziś jeszcze rozpowszechnioną wiedzą o racjonalnem odżywianiu, gimnastyka i sporty zapewnić mogą kobiecie (człowiekowi wogóle) sprawność fizyczną do późnych lat.

Intensywna i nieustanna praca umysłowa, żywe zainteresowanie szerszymi horyzontami życia nie dopuści do zaniku psychicznych władz, jak również do

smętnej izolacji ludzi „wyszłych z obiegu”, żyjących jeszcze, ale już nie rozumiejących dnia dzisiejszego.

Pogodę wewnętrzną zachować też można, gdy się rozumie przeżywaną dobę, gdy zamiast rozpaczliwej pogoni za cieniem własnej, przeminionej młodości postaramy się o odszukanie i wyzyskanie dziś jeszcze dostępnych nam wartości.

Okres zupełnej i zdecydowanej starości — u kobiety ostatecznie zdeklarowany w czas t. zw. menopozy — może być nawet niezmiernie wartościowym okresem spotęgowania w niej i rozrostu wartości czysto ludzkich. Wiadomo, że życie płciowe, połączone u kobiety z funkcjami macierzyńskimi, wyczerpuje ją zarówno fizycznie, jak i psychicznie, stając się przeszkodą do pełnego rozwoju jej władz życiowych. Po ustaniu — w czas menopozy — życia erotycznego, nastaje przez to samo czas wyzwolenia się ukrytych dotąd lub zagłuszonych możliwości. Jeżeli nie dochodzą one do głosu — przyczynia się do tego właśnie owo fałszywe nastawienie się wobec starości.

Kobiecie, przez szereg lat żyjącej życiem erotycznym, wydaje się, że z utratą tego motywu ginie wszystko; nie zdaje ona sobie sprawy, że przeciwnie: nie traci nic, poza tem, co przestało jej być potrzebnem i pożytecznem, a zyskuje wzamian nowe możliwości i siły, do spożytkowania na innem polu.

Znany jest objaw, że po szczęśliwym przebyciu „wieku przejściowego” większość kobiet zaczyna czuć się o wiele lepiej fizycznie, niż przez szereg lat ostatnich; zdrowie się wzmacnia, wiele dolegliwości ustępuje.

Jeżeli stara kobieta pod względem moralnym nie-zawsze czuje odpowiedni przyrost sił i energii, to jedynie dlatego, że większość ulega autosugestji o poniesionej klęsce, nierozsądnie oddaje się rozpacz, szuka sztucznych sposobów zatrzymania choćby pozorów młodości, zamiast cieszyć się raczej wyzwoleniem z pod przemocy życia płciowego, zamiast, nie oglądając się za przeszłością, wyjść radośnie naprzeciw nowych, otwierających się przed niemi horyzontów, zamiast napawać się jasnością zdrowej jesieni życia.

Niektórzy twierdzą, że melancholją starości jest i to jeszcze, iż nie może już ona spodziewać się niczego, prócz śmierci. Pewien nawyk wyłamywania się myślą i sercem po za swój własny, indywidualny byt — unicestwia i to uczucie depresji. Brak poczucia długiego szeregu lat, które przejść jeszcze mogą — nieraz groźne i pełne udręki — przynieść może zarówno ukojenie, jak tęsknotę. Śmierć — śmierć naturalna — u ludzi, ukojonych duchowo, mających poczucie spełnionej pracy dnia, nie ma w sobie nic z goryczy i rozpacz: przychodząc w czas, przynieść i ona może jeno błogosławieństwo.

Całą więc naszą „filozofję” życia codziennego skierować powinniśmy nie ku negacji starości, a ra-

czej ku usunięciu z tej epoki życia stron ujemnych i wykorzystaniu jej niezaprzeczalnych walorów dodatnich.

Przy takim ustosunkowaniu się do własnej naszej starości, odpadną automatycznie obecne, najzupełniej realne jej cechy złe, niezdolne zarówno dla starzejących się, jak i dla otoczenia. Kobieta przestanie czuć się (a więc i być) czemś wyrzuconem poza nawias życia; nie zakłamując się wśród nadaremnych wysiłków udawania nieistniejącej młodości, zyska na wewnętrznym dostojęństwie i zachowa energję, dającą się spożytkować praktycznie, wzmagając swą zdolność do intensywnej i wartościowej pracy.

Wytworzenie się typu kobiety, umiejącej mądrze się zestażyć — kobiety na wzór pszczół-robotnic w ulu, uprzywilejowanej we wszystkich kierunkach, a upośledzonej tylko w dziedzinie niepotrzebnego jej obecnie życia płciowego — zrehabilituje w sferze pracy starość kobiety, uczyni ją tam wartością dodatnią — nie ujemną; powróci zanikającą radość życia tej epoki, stanowiącej nieomal $\frac{1}{5}$ jego całości.

Starzejmy się więc, skoro słusznie francuzi mówią: „vieillir — c'est le seul moyen de vivre longtemps”, ale starzejmy się mądrze i odważnie, a, co za tem idzie — bezboleśnie, widząc w starości tylko zamianę wartości, nie bankructwo.

M. Benisławska.

ZOFJA URBANOWSKA O SOBIE

Czytelniczki nasze przypominają sobie niewątpliwie artykuł p. Reginy Zienkiewiczowej p. t. „O Zofji Urbanowskiej” w Nr. 29 „Bluszcza”. Jego echem i uzupełnieniem jest list p. Zofji Urbanowskiej do autorki artykułu, p. Reginy Zienkiewiczowej.

List ten, za zgodą Czcigodnej Autorki „Atlanty”, z opuszczeniem ustępów o charakterze prywatnym, drukujemy poniżej, w przekonaniu, że zawarte w nim szczegóły o stosunkach wydawniczych za czasów rosyjskich i o obecnym życiu jednej z naszych najzasłużeńszych autorek dla młodzieży zainteresują szersze koła naszych czytelniczek.

Szanowna i kochana Pani!

Tak mnie Pani wzruszyła ślicznym artykułem w „Bluszczu” i tonem serdecznym, że nawet trudno mi to wyrazić.

Wielka to dla mnie niespodzianka, że znalazł się

ktoś, pamiętający jeszcze o „Atlancie”, „pogrążonej w morzu niepamięci” — ktoś, co nie tylko pamięta, ale chciałby ją z głębin wydobyć i wskrzesić nanowo do życia! A jak to jest wszystko wypowiedziane ślicznie, prosto i z uczuciem! Widać, że słowa płynęły z głębi serca. Bardzo, bardzo Pani dziękuję.

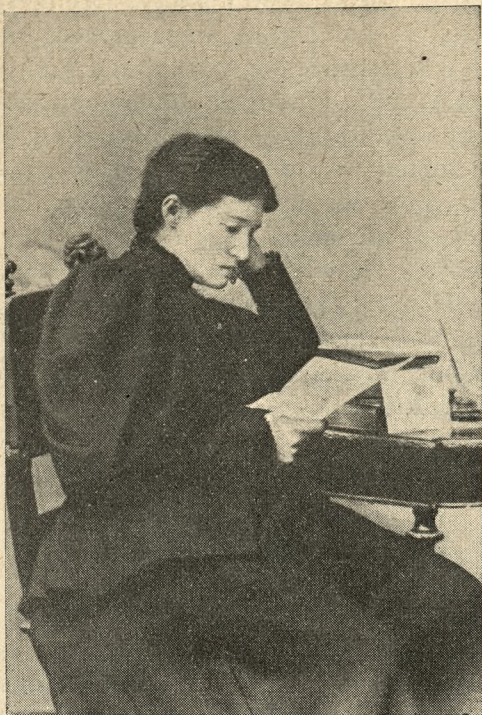
Gdy „Atlanta” niegdyś znalazła się na rynku księgarskim, pojawiły się o niej artykuły we wszystkich pismach: obszerne, piękne i życzliwe; ale Pani kochana pokazała ją teraz z innej strony, opowiadając o wrażeniach, jakie sprawiała na młodzieży, jakie wywoływała myśli i uczucia, a to jest właśnie dla mnie najważniejsze.

Książka ta prędko się rozszła — 2.500 egzemplarzy w ciągu dwóch lat — ale wydanie było tylko jedno. Do drugiego nigdy nie przyszło.

Gdy powieść ta wychodziła w „Wieczorach Rodzinnych”, Redakcja sceny „drażliwe” przepoławiała,



Dworek Zofji Urbanowskiej w Koninie.



Zofja Urbanowska. — Fotografia z 1903 r.

odkładając drugą połowę do następnego numeru. W ten sposób nie bardzo raziły cenzora. Ale gdy przyszło do wydania książkowego i trzeba było całość posłać Komitetowi Cenzury, dla uzyskania pozwolenia — stała się awantura! Cenzor dostał wielki „wygawor“, a z tekstu powykreślano całe stronicie i tak okaleczono, że istnieć w tej postaci nie mogła.

Zdecydowałam się zatem drukować ją w Krakowie własnym nakładem — bo książka, nie mająca debitu w Królestwie, nie przedstawiała żadnego interesu dla wydawców. Czasem zdarzało się, że z *faktem dokonanym* cenzura liczyła się inaczej — ale nadzieja była słaba! Grendyszyński i jego poprzednicy drukowali w Petersburgu rzeczy takie, na które nigdy nie pozwolono by w Warszawie i uzyskiwali pozwolenia — ale na to trzeba było mieć stosunki i umieć się starać, — co dla mnie było niemożliwe.

Książka była już wydrukowana i oprawiona, gdy zjawił się u mnie w Warszawie pewien księgarz kijowski i oświadczył, że podejmie się uzyskać pozwolenie i weźmie „Atlantę“ na skład główny. Tam naznaczono właśnie nowego cenzora. Księgarz złożył mu książkę, wraz z rocznikiem „Wieczorów Rodziny“, objaśniając, że to jest „jedno i to samo“ i prosił o sprawdzenie. Rezultat był dla nas pomyślny, bo księgarz przywiózł mi wkrótce do Warszawy pozwolenie urzędowe. Ale książki szły na Lwów do Kijowa i stamtąd dopiero rozchodziły się w różne strony.

Koszta nakładu zwróciły się, nawet z zyskiem — ale o drugim wydaniu nie można było myśleć, chociaż cenzura warszawska naówczas zlagodniała. Zmieniły się warunki życia; cena pracy bardzo wzrosła, zwłaszcza pracy zecerskiej, podróżowały też materjały, mające związek z drukarstwem. Ci więc, którym proponowałam nowe wydanie, nie widzieli w tem korzyści dla siebie — i nie można im się było dziwić!

Chciałam znów wydać własnym kosztem, ale klisze, sprowadzone z Krakowa, okazały się niemożli-

we do użycia. Drukarnia nie zabezpieczyła ich powłoką ochronną od wpływu powietrza, więc zoksydowały — a w kosztach wydawniczych ryciny zawsze stanowią najpoważniejszy wydatek. Przy pierwszym wydaniu kosztowały mnie tylko ilustracje Maszyńskiego, trawione w Pradze Czeskiej — wszystkie przyrodnicze (a jest ich bardzo dużo) miałam z „Wieczorów Rodziny“. Gdyby były w dobrym stanie, nie szukałabym wydawców i „Atlanta“ nie utonąłaby w „morzu niepamięci“.

Więc choć „na banderze mego statku błyszczący krzyż Polonia restituta“, żaden nurek nie spuścił się na dno morza dla odszukania zaginionej „Atlanty“. I nie koniec na tem: zginie tak samo reszta mego ładunku, bo wydawcy nie kwapią się do moich książek: utrzymują, że „teraz jest inny smak“. Trudno temu zaprzeczyć!

Powieści moje wychodziły w następującym porządku:

- 1) Znakomitość.
- 2) Cudzoziemiec.
- 3) Gucio zaszarowany (dla młodszych dzieci).
- 4) Księżniczka.
- 5) Wszechmocni (powieść dla męskiej młodzieży, odpowiadająca „Księżniczce“).
- 6) Atlanta.
- 7) Róża bez kolców.
- 8) Złoty pierścień (dla młodszych dzieci).

Oprócz „Księżniczki“, „Róży bez kolców“, „Złotego pierścienia“ i „Cudzoziemca“ (Wojna w czasie pokoju), wszystkie inne są zupełnie wyczerpane.

Kilka lat temu zjawił się u mnie jeden z poważniejszych wydawców z propozycją, abym „Atlantę“ i „Różę“ skróciła do połowy, a obie chętnie wyda — ale odmówiłam.

Trzeba się przygotować na stratę całego ładunku. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to było obojętne, bo cieszyłam się niegdyś nadzieją, że gdy mnie już nie będzie, książki moje pozostaną i będą żyły wśród młodzieży, zwłaszcza „Atlanta“, nad którą praca sprawiła mi najwięcej przyjemności. Ale oswoiłam się już z tą myślą: Statek mój też zbliża się już do drugiego brzegu.

Dziękuję Pani bardzo za szczegóły, jakie mi Pani przesłała o sobie i swej Rodzinie, bo to mi daje tło do obrazu autorki pięknego artykułu, bliskiej mi już, choć nieznanej osobiście. Co do mnie, wie już Pani od Pana Jankowskiego, gdzie mieszkam. Domek mój, zbudowany niegdyś z drzewa i pokryty tynkiem, stoi na skraju miasta w bliskim sąsiedztwie Warty, której wylewy nawiedzają mnie od czasu do czasu. Gdy taki czas przyjdzie, woda zalewa mi ogród, a czasem dziedziniec i parter, skąd wtedy wynoszą się lokatorowie. Mnie ona nie dosięga, bo mieszkam na górze, a żywność, gdy ulica jest zalana, służąca przywozi mi łódką.

Domek ten, powszechnie „dworkiem“ nazywany, rujnuje się od takich wylewów i częściej potrzebuje reparacji. Przyjaciele i życzliwi oddawna już mnie namawiają do sprzedaży, mianowicie Państwo Jankowscy, którzy mnie tu już dwukrotnie odwiedzali. On proponuje sprzedaż choćby połowy terytorjum na plac pod budowę (na to ogromną mają ochotę mniejszości narodowe). Ale ja przywiązana jestem bardzo, nie tylko do domu, w którym mieszkam, a w którym żyli moi rodzice, ale i do ogrodu. Tu i tam mam pełno wspomnień i każda zmiana byłaby mi przykra.

Zapytuje mnie Pani, czem się zajmuję? Gospo-

darstwo moje, choć małe, dużo czasu zabiera. Mróz podczas przedostatniej zimy zniszczył mi dużo drzew owocowych, które trzeba było usuwać w zeszłym roku i jeszcze są takie, które się w tym roku usunie.

Są też i inne roboty, których trzeba osobiście dopilnować, zwłaszcza przy reparacji domu, bo inaczej ponosi się straty.

Zdaje mi się, że już odpowiedziałam na wszystkie Pani pytania.

Ach, jeszcze Pani chciała wiedzieć, o czym myślałam w chwilach samotnych! Myśl o pracach zamierzonych a niedokonanych, do których plany i materiały istnieją w duszy, ale może nigdy nie będą odlane w formy literackie!

To już i koniec listu. Przekona się Pani z niego, że piękne Jej intencje dla „Atlanty” są nieziszczalne. *Zofja Urbanowska wrócić do Was, choćby najbardziej pragnęła — nie może!...*

Dziękuję Pani kochanej raz jeszcze za wszystko i ściskam ją z całego serca.

(—) *Zofja Urbanowska*

Po łaskawym użyczeniu nam tego listu przez p. Zienkiewiczową, redaktorkę „Bluszczu” zwróciła się do p. Zofji Urbanowskiej z prośbą o pozwolenie wydrukowania go w „Bluszczu”. Jako odpowiedź, otrzymała list, z którego ważniejsze ustępy również zamieszczamy.

Konin, 4/9 1930.

„Kochana Pani!

.....
Nie mam nic przeciwko drukowaniu listu do p. Zienkiewiczowej, skoro Pani sobie tego życzy, tylko



Stup kamienny postawiony w XII w. przez Piotra Dunina na połowie drogi między Kaliszem a Kruszwicą.



Ratusz w Koninie.

obawiam się, żeby ten jego nie dał czytelnikom powodu do litowania się nad moją dolą, gdy, szczerze mówiąc, niejeden mógłby mi jeszcze pozazdrościć.

Potrzeby moje skromne, więc nietrudno je zaspokoić. Żyję pod własnym dachem i na własnej ziemi, a to już jest wielkie dobro, i, choć sama jestem, daję sobie radę w trudnych nieraz okolicznościach.

Dworek mój, choć niewielki, obrośnięty dzikim winem, bardzo się wszystkim podoba. Fotografują go nawet. Mam duży balkon z widokiem na ogród i rzekę. A kto wejdzie przez bramę na dziedziniec, ma wrażenie, że jest na wsi, bo cały zarosły trawą, wygląda jak łąka — a gołębnik, ganek, pod którego dachem jest obrazek Matki Boskiej, podnosi jeszcze to wrażenie. Urodziłam się na wsi i wieś mnie do siebie ciągnie.

W mieście mam dużo życzliwych i przyjaciół. Odwiedzają mnie też przyjaciele z Warszawy i dalszych okolic kraju. W zeszłym roku, podczas trwania Wystawy w Poznaniu, ci, co tam dążyli przez Konin, lub stamtąd wtedy wracali, wstępowali do mnie na kilka godzin, a niektórzy bawili po parę dni, jak Edmundowie Jankowscy.

Jeżeli więc Pani Kochana uważa, że list do Pani Zienkiewiczowej nie będzie wyglądał na jakieś uzalanie się nad własnym losem, na utyskiwanie nad obojętnością wydawców, to zgadzam się na wydrukowanie go w całości, czy częściowo, jak Pani będzie wolała. Zostawiam to Jej woli i uznaniu.

Nie mogłam Pani zaraz odpowiedzieć, bo miałam bardzo pilną sprawę do załatwienia. Wysyłałam cebulki kwiatowe *lilij białych* i *zonkilów* do jednego z zakładów ogrodniczych pod Warszawą. Prowadzę bowiem tę hodowlę od czasów przedwojennych jeszcze. Cebulki te zaczęły mi już kiełkować na poddaszu, a hurtownik nie zgłaszał się. Gdy więc ich zażądał, musiałam się *bardzo śpieszyć*, żeby zostały przyjęte.

.....
Dziękuję też za ofiarowanie „Bluszczu”. Czytywałam go dawniej, gdy wychodził pod redakcją Pani Illickiej: czytać go będę chętnie teraz, gdy wiem, że Pani nim kieruje.

Proszę odemnie uprzejmie pozdrowić Swą Szanowną Mamę i Panią Zienkiewiczową — i przyjąć serdeczne bardzo uściśnienie.

Zofja Urbanowska.

FELICJA KRUSZEWSKA

UŚMIECH MARYSI

Przyniosła ją Wikcia i położyła ostrożnie na ławce w kuchni — malutki węzelek płaczu. Sama przystanęła opodal i głosem nieufnym, szorstkim od łez, podzieliła się z nami swoją sprawą. Bo to właśnie słyszała, że służąca od państwa odeszła, więc możeby się nadała. I po chwili milczenia dodała jeszcze, że umie trochę gotować i prać, a koło świń też poradzi. I jeszcze, że jest ze wsi, zdaleka (a blyskiem czarnych oczu jakby dodała: co komu do tego, skąd) i że ten tam węzelek — to Marysia.

Chyba ten maleńki węzelek zadecydował, bo co do braku służącej, to pomyliła się Wikcia — od paru dni urzędowała już w kuchni wesół, uśmiechnięta Różia — ale owszem, mogłaby zostać.

Wikcia ściągnęła brwi, zacięła usta i z pod chusty i pieluch wydobyła Marysię. Całkiem filigranowa osoba była ta Marysia; piąsteczki ściśnięte, nóżki, jak dwie zapalki. Oczy tylko miała osobliwie duże, czarne i dokoła tych oczu puszyste rzęsy. Zaraz też przestała płakać, rozejrzała się dokoła ciekawie i malutkim różowym uśmiechem powiedziała, że tak z łaski kątem, to nie — ale naprawdę ze szczerego serca, to owszem — gotowa jest nawet królować nie tylko w tej kuchni, ale w całym domu. I zaraz uśmiechnęliśmy się wszyscy, bo dziwnie łatwo było uśmiechać się do Marysi.

Uśmiech miał być umową dalszego wspólnego pożycia.

Marysia rosła. Robiła to dziwnie jakoś niedostrzeżenie a ciągle. Miała już swoje łóżeczko w kącie kuchni, swój zupełnie niezaprzeczalnie własny kat. Ale przebywała w nim tylko w nocy, i w dzień, jeśli raczyła spać. Bo i poco, kiedy cały dom stał przed nią otworem? Tyle było rąk, wyciągniętych naprzeciw jej malutkim, szukającym rączkom; tyle oczu, chciwych jej ślicznego uśmiechu; tyle ust, chcących całować ciemnożłotą czuprynę, poziomkowe policzki i aksamitną szyjkę. To tu, to tam rozlegał się głos, śpieszczający na przeróżne sposoby jej imię. Marysiu! Maisieńko! Maicha! Biegła Marysia na każde zawołanie, jak malutki rozradowany piesek. Tak właśnie, miała w sobie coś z niefrasobliwości, z natychmiastowej gotowości do zabawy, z bezgranicznego zaufania szczenięcia. Ramionka podnosiła odrazu do góry, żeby je owinać dokoła czyjejś szyi, a różowy dzióbek nosiła stale złożony do pocałunku. Po dziesięć i po dwadzieścia razy na dzień witaliśmy ją uśmiechem i radosnym słowem. Bo lubiliśmy przecie, żeby wszystkim naokoło było dobrze, zarówno ludziom, jak i zwierzętom. Rozpieszczaliśmy Marysię.

Czyż nie jest to właśnie rozkosznie — kogoś rozpieszczać? Czyż w tej formie nie najłatwiej, nie najprzyjemniej, wylewa się struga naszej najoczywistszej dobroci? Więcemy robili ochotnie wszystko, żeby hodować czarujący uśmiech Marysi. Sukienka z kryzą? Tak! Będzie w niej Marysi ślicznie! Kokarda? Łalka? Piłeczka? Koraliki? Krem! Czekolada! Konfitury!

Kapaliśmy się, jak w słońcu, w marysinej radości. Poprostu staraliśmy się robić ciągle święto dla niej i dla nas. Już tam Wikci pozostawialiśmy szary trud nakarmienia dziecka kaszą i mlekiem.

Niesposób wprost opisać, jakieśmy tę Marysię lubili. Dochodziło do tego, że o jej względy dobijaliśmy się, jak o łaskę. — Do kogo wolisz pójść, Marysiu? Do pani? Do panienki? Do tej panienki? Do tamtej panienki? Do panicza? — I Marysia uradowana przechodziła z rąk do rąk, jak piłka, aż Wikcia odwracała się nagle nachmurzona od garnków i wyjmowała nam ją z ramion.

Dla Marysi powstawały specjalne zabawy. Coś w rodzaju wieczornego obrzędowego tańca. Jedno z nas z Marysią pośrodku — reszta dookoła. Melodja: majufes. Z przyklaskiwaniem, z przytupywaniem, z ukłonami. Kłaniała się i Marysia na rękach — od góry prawie do ziemi. Aż przymykała oczy i włosy fruwały jej dokoła przerażonej trochę twarzy, jak nitki jedwabiu. Zaraz potem wybuchiała śmiechem, a my za nią. Śmiała się tak głośno i tak bardzo, że długo potem nie chciała zasnąć. Wynosiliśmy się, oczywiście, z kuchni, żeby jej nie przeszkadzać spać. Usypiała Marysię Wikcia.

Wikcia! Działo się jakoś tak, że Wikcia nie dzieliła naszego święta. A nawet działo się jakoś zupełnie inaczej. O ile Marysia miała w sobie coś z rozbrajającej otwartości szczenięcia, o tyle Wikcia chowała w sobie coś z podejrzelivej nieufności suki. To było właśnie to. Jakby nie mogła zupełnie uwierzyć, że przepadamy wszyscy za Marysią. Podarunki, pieścizoty, nasze zabawy z dzieckiem, wszystko to znosiła raczej, niż przyjmowała z wdzięcznością, a do niektórych naszych pomysłów odnosiła się wręcz niechętnie. Tak np. potępiła milczaco, ale wymownie kąpiele słoneczne, które urządzaliśmy Marysi: nie znalazła też u niej uznania śliczna, przez nas zrobiona fotografia Marysi-naguska w pośród kwiatów w ogródku.

Nie, nie chcieliśmy zupełnie żadnych podziękowań, ale zawsze radzi bylibyśmy większej uprzejmości. Naprzykład, ten czasem doprawdy nieprzyjemny gest, z jakim zabierała nam nieraz Marysię z rąk!

Nie zwierzała się też nam Wikcia nigdy w niczem. Ani co do Marysi, ani wogóle. W święta po obiedzie, kiedy Różia latała z chłopakami do lasu, Wikcia wkładała dziecku sukienkę — żadną z tych przez nas uszytych, lekkich, fruwających — wkładała sukienkę, którą uszyła sama, w miarę długą, z rękawami, na to fartuszek, na główkę różową czapeczkę. I szła sobie z Marysią na spacer. Na drogę, w pole.

Raz im tylko towarzyszyłam na takim spacerze. Spotkałam je przypadkiem na drodze.

— Pójdziemy z panienką aż do kapliczki — powiedziała Wikcia.

Poszliśmy do kapliczki. I ten jeden raz Wikcia była rozmowna. Sama zaczęła:

— A ta Helena, panienka wie, co koło Pawłowców, to zawsze nosi swoją Jadzię na prawej ręce.

— Pewno jej tak wygodniej — powiedziałam.

— Nie, ona chce, żeby lepiej widzieli, że jej Jadzia taka tłusta! — Wikcia westchnęła i przyłożyła usta do różowej czapeczki Marysi.

— Cóż z tego, że tłusta — zawołałam oburzona — kiedy Marysia sto razy ładniejsza!

— Zawsze to ładnie, kiedy dziecko tłuste — upierała się Wikcia — jakie to ma policzki... o... widzi panienka?

Mijałyśmy właśnie Helenę z Jadzią. Doprawdy, nic osobliwego była ta Jadzia. Oczy bładoniebieskie, twarzyczka nalana. Wyciągnęła rączkę do Marysi. — Lala! O — lala! Ale Marysia nie zwróciła na to uwagi. Oparła główkę na ramieniu Wikci i spoglądała z pod długich rzęs trochę senna. W uśmiechu wyręczyła ją tym razem Wikcia. Doprawdy, uśmiechnęła się w tej chwili zupełnie słodko. A potem do mnie z wyjaśnieniem:

— To taki sam bękarcik, jak moja Marysia!

Raz nawet zabrała Wikcia Marysię do miasta. W zwykły, powszedni dzień. Różia zgodziła się zastąpić ją w kuchni, bo bywało jakoś zwykle tak, że Wikcia ciągle zastępowała Rózię. Dzień się nam wzdawał jakiś pusty bez tej Marysi. W dodatku rozpadał się deszcz. Co wyjrzy słońce, to płynie nowa chmura; co zapala się za rzeką pnienie sosen na różowo i rdzawo, to zaraz potem pełźnie od łąk sina ciemność. Nie sposób wywędrować z domu.

O zachodzie rozpogodziło się trochę. Wyszliśmy przed ganek. Patrzymy na drogę na górze. Aż tu tą drogą z góry idzie Wikcia z Marysią. Wikcia blada, usta zacięte, bez chustki na głowie, w samej tylko cienkiej przemokłej bluzce. Bo wszystko, co miała, i chustkę i żakiet owinęła dokoła Marysi. Pobiegliśmy naprzeciw, zabraliśmy z rąk Wikci tobolek i nuż wdobywać Marysię. Spała najspokojniej. Wikcia stanęła dysząc i odgarniając z twarzy mokre włosy.

— Jakżeż można było iść z dzieckiem w ulewę! — zawołaliśmy.

Marysia zbudziła się na dźwięk naszych głosów. Uśmiechnęła się. Wsunęła usta do całowania. A potem, tupiąc i kuląc ramionka, zwierzyła się nam przestarszonym głosem: — deszcz — deszcz.

Zbierało się na deszcz od rana, kiedy Wikcia wynosiła od nas Marysię w świat. Tak, ot, jednego dnia, jakby ni z tego ni z owego, z nikim przedtem nie mówiąc, nie zwierzając się, jak zwykle, nikomu. Powody? Nie, niby nie było wyraźnych powodów do tak nagłego w niepewną pogodę odejścia. Oczywiście, nikt nie mógł myśleć, żeby Wikcia z Marysią zostać miały w naszym domu aż do końca życia, nazawsze. Ale żeby tak nagle...

Tak! Tylko że to „nagle“ tak często jest pozorem. Coś się zaczyna dziać powoli, nieznacznie, ot, niby kropla po kropli, można tego nawet nie zauważyć, aż jednego dnia, czy nocy dojrzeje, jak wrzód. I trzeba to nagle przeciąć. Coś się takiego zaczęło dziać między nami a Wikcią w naszym „domu“.

Dom! Ilez trzeba nieraz starania, żeby go wypełnić uśmiechem. Uśmiechów musi być tyle, żeby w nie, jak w siatkę, można było omotać każdy ostrzejszy kant. Jeśli nie starcza tych prawdziwych, są je-

szcze inne, udane. Jedne płyną z miłości, inne z ustępstwa, czasami nawet z tchórzostwa. Mój Boże! Niekażdy ma przecie „w domu“ jednakową siłę, a skoro już postanawia się żyć razem, trzeba robić tak, żeby ostrzejsze kanty nie raniły kogoś słabszego, albo... albo żeby nie godziły w nas samych.

Nie wszystkim „w domu“ przypadła Wikcia do gustu. Tak. Była ponura, często opryskliwa, trudno się z tem było nie zgodzić. A co do roboty Wikci, to: często niedbała, byle prędzej, byle zbyć. (Mleko Marysi! Kapiel Marysi! Sukienki Marysi! Marysia płacz: chodź do mamy, córeczko...). Właśnie Marysia. Uważali niektórzy, że za dużo tej Marysi w całym domu. Cóż dziwnego! Otworzyliśmy go jej przecie szeroko i z uśmiechem i nie chcieliśmy zauważyć nic z tego, co się działo. Bo lubiliśmy się uśmiechać i lubiliśmy także, żeby było dobrze tym wszystkim, którzy byli w danej chwili razem z nami. Zauważyła to tylko Wikcia, która uśmiechać się nie lubiła, chyba do Marysi.

To też owego pochmurnego dnia, bez żadnych wyjaśnień, zamiast wziąć się do gotowania obiadu, zajęła się toaletą Marysi. Wykąpała dziecko w miednicy, potem ubrała w czyściutkie szmatki od a do zet — do ciemnej sukienki z rękawami, fartuszką i różowej czapeczki. Potem owinęła ją chustą i powiedziała:

— Teraz pożegnaj się, Marysiu, bo idziesz w świat.

Właśnie tak, szeroko, patetycznie, bez sensu: w świat. Spoglądaliśmy na Wikcie niepewni, czy to aby prawda. Tak. To była prawda. Marysia zaraz zrobiła swój dziobek i aż zamachała rączkami z radości, że idzie na spacer. Ucałowaliśmy mocno i serdecznie jej buzię, rączki, kolanka.

A Wikcia znowu swoim nieprzyjemnym głosem:

— Podziękuj państwu, Marysiu, za dobre serce. Powiedz: pa!

— Pa! pa! — kłaniała się rączką Marysia.

I my wołaliśmy: pa! — bo nie można przecie było zawołać: przebacz!

W milczeniu odprowadziliśmy Marysię do progu. Pożegnała nas uśmiechem. Dopiero za progiem przestała się uśmiechać, bo zaczęły właśnie spadać pierwsze rzadkie, ciężkie krople deszczu, a deszczu bała się Marysia zawsze.

Przypuściliśmy odrazu szturm do Rózi. Może co wie? Dokąd poszła Wikcia? Co ma zamiar zrobić dalej? Ale Różia nie wiedziała nic zupełnie. Jej także Wikcia nie powiedziała ani słowa.

W parę dni potem przyszła Wikcia sama zrobić rachunek i po rzeczy. Ponura była bardziej jeszcze, niż zwykle, zgola nie zachęcająca do rozmowy. Zapytałam ją jednak w pewnej chwili zupełnie nieśmiało:

— Gdzie Marysia? Co Wikcia zrobiła z Marysią?

Wikcia spojrzała na mnie swemi chmurnemi oczami i rzuciła ze śmiechem, krótko, nieprzyjemnie, prawie pogardliwie:

— Sprzedalam!

Odtąd widziałam Marysię parę razy — we śnie. Nie uśmiechnęła się do mnie nigdy.



HANKA KŁOSIŃSKA

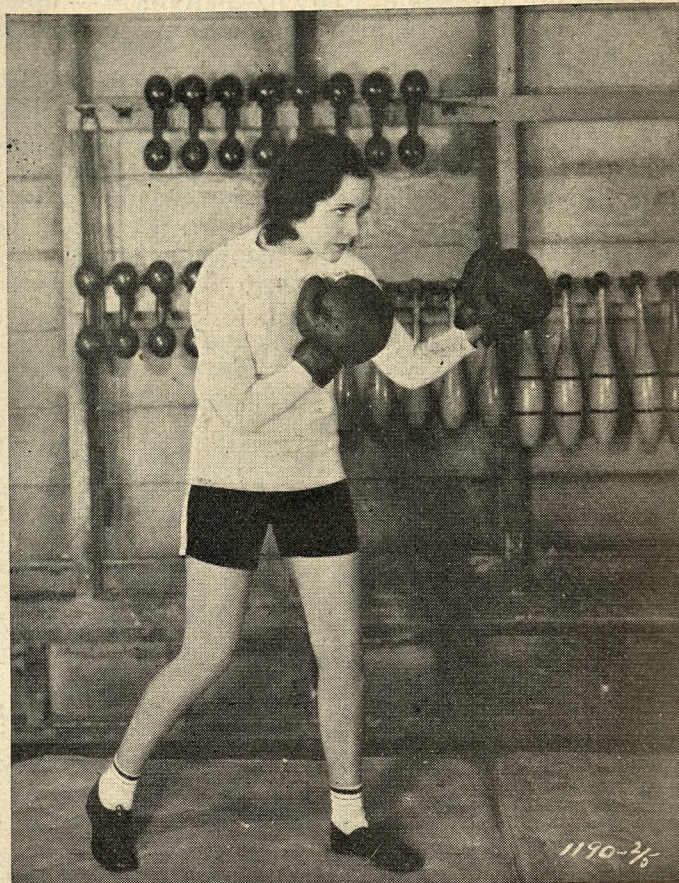
CZEM SIĘ ENTUZJAZMUJE KOBIETA?

Odmiana najnowsza kobiety-człowieka jest sportsmenka. Tę entuzjazmuje własna siła, zdrowie, niebo nad głową, droga przed sobą, wieczny hazard z losem o życie, najczęściej zaś oklaski tłumów, gdy przepłynie Kanał La Manche, zdobędzie nagrodę olimpijską za rzut dyskiem lub weźmie rekord w skoku na nartach, gdy przeleci Atlanty! Ta, bodaj że najbardziej równa mężczyźnie, bo najsilniejsza.

A teraz panowie, proszę o ukłon w stronę kobiety-społeczniczki. Tej stanowisko usankcjonowały już wieki i była to zapewne pierwsza kobieta, która się odważyła być człowiekiem. Bodaj, czy ta odwaga nie była bardziej wartościowa od tej, która dziś każe nogi sobie łamać na „Zamarłych Turniach”. Kobieta-społeczniczka entuzjazmuje się każdym uczynionym dobrem, niesioną ofiarnie pomocą, każdym dzieckiem, które pod jej opieką nauczyło się pacierza i żyje dzięki niej, syte i ubrane, każdą nędzą, którą zażegnała. Słowem entuzjazmuje się swoim sercem, żyjącem dla drugih.

Są różne typy społecznic, takie, które czynią dobro z obowiązku i inne, które czynią to z kaprysu, dla zabicia czasu i t. p., te mają w sobie wiele ludzkiego, ale nie człowieczego.

Wprawdzie powiedział Maciejowski, że najbardziej odpowiednim parlamentem dla kobiety jest bujar, ale kobieta-człowiek orzekła inaczej i swoją sil-



Odmianą najnowszą kobiety-człowieka jest sportsmenka.



Są kobiety entuzjazmujące się najnowszymi odkryciami.

na, zaborczą rączką zagarnęła urzędy w ministerstwach, została posłem na sejm, doradcą prawnym itp.

Czem taka się entuzjazmuje? Posiedzeniem Ligi Narodów, rozbrojeniem Niemiec, polityką wewnętrzną swego kraju, a najwięcej zaburzeniem w Sejmie. Uwielbia mówców i całą podjazdową walkę, którą nazywamy polityką. Kto wie, czy jednak nie miał racji ktoś, twierdząc, że więcej kobietę zajmuje ten, kto mówi, niż to, co on mówi. Trudno, nic nie jest bez skazy.

Są jeszcze kobiety, entuzjazmujące się ścisłą nauką: odkrywaniem mikrobów, wynajdywaniem radu, filozofją, geologją, wykopaliskami archeologicznymi. Widzi się w nich człowieka wiedzy, stojącego ponad pytaniem, czem się entuzjazmuje, pyta się go tylko, jakie ma plany pracy na przyszłość?

Kobieta polka ponad wszystko jednak entuzjazmuje się swą Ojczyzną. Wszystko, co polskie jest dobre, piękne i godne jej entuzjazmu, godne jej miłości i poświęcenia. Entuzjazmuje się nawet naszą narodową klęską, jak i szczęściem, bo wie, że w tej klęsce nie było nic z hańby i że na niej zudowała się wolna Polska. Jej narodowy entuzjazm jest dziwnie radosny i ma w sobie coś z amarantu i bieli.

Są jeszcze kobiety, o których entuzjazm nikt nie pyta, w których nikt entuzjazmu nie szuka — to stare panny, wyrzucone za nawias życia. Ogólnie panuje przekonanie, że stara panna to osobnik rodzaju



Najszczerzy kobiecy, małoszkowy entuzjazm nad drobiazgami domowymi.

nijakiego, że jej entuzjazmy i marzenia umarły z jej młodością, że jeśli ją coś jeszcze zajmuje, to tylko jaki czworonożny faworyt. Są jeszcze kobiety, dla których poza obowiązkiem nic nie istnieje, a przecie szary obowiązek, jak chleb powszedni, nie wart entuzjazmu. A kto wie? Gdyby tak dobrze wglądać w staropanieńskie dusze, pachnące lawendą, albo w duszę tych cichych pracownic, możeby odnalazło się tam cichy, najcichszy entuzjazm, tak nieśmiały, że się go nikt nie domyśla. Entuzjazm dla szczęścia innych, gdy już własne szczęście umarło. Taki przedziwny entuzjazm, graniczący z poświęceniem.

A teraz jeszcze te, o których również nikt nie pomyślał, pisząc o kobiecie, kobiety wiejskie. Te znają entuzjazm pierwotny, żywiołowy, odrodziny, niezmiernie spaczony, świeży, jak kwiat. Entuzjazm dla każdej wracającej wiosny, dla życiodajnej ziemi, dojrzewającego zboża, razowego chleba, krówki, cielaka, prosiątka, kur i wszystkiego, co żyje! W ich entuzjazmie jest wiele wspólnego z entuzjazmem kobiety, potocznie zwanej: dobrą gospodynią.

Wreszcie kobieta-lalka. Tę znamy wszyscy. Mammy tę wątpliwą przyjemność. Jest to małowartościowa imitacja kobietki. Chce zostać gwiazdą filmową, wyjść za mąż choćby za murzyna, mieć selskinowe futro i nie myśleć o niczym. Staje do wszystkich konkursów piękności i za każdą cenę chce być królową sensacji.

Miedzy lalką a kobietką jest różnica. Kobiętka udaje tajemniczą i nieodgadnioną, ta zaś jest rozkosznie bezmyślna, ale źródła ich entuzjazmu są nieomal wspólne.

Oczywiście nie brak również kobiet, które wolą

dobrą plotkę, niż dobrą powieść i entuzjazmują się obmawianiem bliźnich.

Jest także entuzjazm rozkładowy, histeryczny, Kobiety, które mu ulegają, urządzają owacje oskarżonym o morderstwo, jak bohaterom!

Jest jednak jedno na świecie, dla czego kobieta poświęci prawa wolnego człowieka, talent, politykę, sport, samodzielność, swobodę, na imię temu jednemu: On. Z chwilą, gdy On wchodzi w jej życie, kobieta entuzjazmuje się tylko Nim. Są takie, które to wyznają otwarcie, są takie, które temu przeczą, ale to pewna: alfa i omega ich życia jest On. Imię żony sprawia, że wszystkie dawne entuzjazmy szarzeją, a wszystkie rzeczy giną w dalekości. Świat jest poza nią. Zaczyna się najszczerzy kobiecy, małoszkowy entuzjazm nad krawatem męża i leguminą.

Następnie entuzjazmuje kobietę własny dom tak bardzo, że usuwa nawet Jego. Oczywiście, każda entuzjazmuje się na swój sposób: jedna dlatego, że ma swój dom, a druga dlatego, że może w nim gości przyjmować, inna, że jest to Jego i jej dom. Różnie bywa.

Taki stan rzeczy trwa do czasu, aż się pojawi Jego Królewska Mość Dziecko. Wtedy marnieje wszystko i błędnie, wszystkie wielkie i małe tego świata sprawy, nawet miłość.

Kobieta, kobieta-człowiek, kobietka i lalka przestają być sobą, każda jest Matką. Rozkwita w sercu radosny, śliczny entuzjazm dla uśmiechów dziecka, dla jego oczu błękitnych, dla jego rączek różowych, uścisków i pierwszego „Mamo”, najmielszego słowa na ziemi. Zachwytny entuzjazm, jak przed Bożym cudem, i starczy pono kobiecie ten entuzjazm za wszystkie radości i szczęścia, starczy na całe życie!



Alfa i omega ich życia jest — On.

JESIENNE ZAWODY SPORTOWE

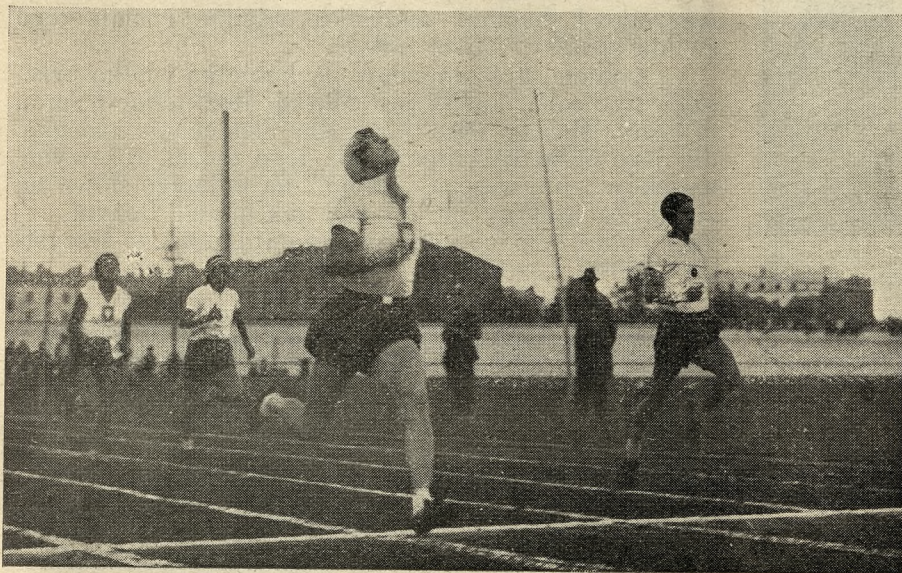
Miesiąc wrzesień zaczął się pod hasłem sukcesów kobiecych w dziedzinie sportu.

6-go września na Olimpiadzie Kobiecej w Pradze czeskiej czołowe nasze reprezentantki: Konopacka-Matuszewska i Walasiewiczówna zdobyły pierwsze miejsca na zawodach lekkoatletycznych. Sukcesy odniosły również i inne polki: Schabińska, której jedynie wypadek podczas biegu przez płotki uniemożliwił dojście do finału. Freiwaldówna, Kilosówna i Lewinówna zajęły czwarte miejsca w szeregach rekordzistek.

Walasiewiczówna została nagrodzona, jako najlepsza zawodniczka.



Zwycięska osada W. K. W. ze sterniczką Kozuchowską.



U mety. Walasiewiczówna zdobywa pierwsze miejsce.

Photo plat.

Pomimo tych sukcesów dzielne nasze zawodniczki nie spoczęły na laurach: w ostatnich dziesięciu dniach rozegrały szereg meczów, przynosząc znowu chlubę sportowi polskiemu.

Jedną z najciekawszych imprez były zawody lekkoatletyczne, rozegrane z egzotyczną reprezentacją Japonii. Ze strony Polski stanęły do zawodów rekordzistki nasze z Pragi czeskiej; Japonia przysłała 6 zawodniczek, ze słynną Hitomi na czele. Zawody odbyły się w czwartek, 11 września, przy wypełnionych trybunach. Piękna polska jesień sprzyjała pomyslnemu przebiegowi rozgrywek.

Wyniki zawodów były następujące:

Bieg 80 m. przez płotki: startowały 4 zawodniczki, 2 polki i 2 japonki. Pierwsza do mety przychodził Freiwaldówna.

Bieg 100 m. prowadzi Hitomi, lecz w pięknym finiszu pobija ją Walasiewiczówna.

Bieg 60 m. należy naturalnie do naszej szybkobiegaczki Walasiewiczówny, drugie miejsce zdobyła Hitomi.

Bieg 200 m.: Walasiewiczówna biegnie wspaniale i bierze o 100 m. zgórą swoje współzawodniczki. Hitomi nie startowała w tym biegu.

Rzut dyskiem: Pierwsze miejsce zdobywa Konopacka: 37,48. Drugie Schabińska, trzecie dopiero japonka Hitomi: 32,19 m.

Rzut oszczepem: najdalej rzuciła Hitomi: 36,55 m., po niej Konopacka: 30,80 m., tu dało się zauważyć wybitne zmęczenie Hitomi.

Sztafetę 4×100, która dla szer-



Osada bydgoska, startująca na zawodach międzyklubowych kobiecych.

Photo plat.

szej publiczności była szczególną atrakcją, zdobyła wspaniałe drużyna polska.

Zawody z egzotyczną reprezentacją japońską wypadły znakomicie i w podniosłym nastroju, który przejawiał się w odegraniu hymnów narodowych obu państw i przemówieniach ze strony polskiej i japońskiej. Nie należy zapominać, że publiczność nasza była przecież pod świeżym wrażeniem sukcesów naszych zawodniczek w Pradze.

W Królewskiej Hucie odbył się również mecz kobiecy, lekkoatletyczny, Klubów: Stadjon i Warta (Poznań). Zwyciężyły reprezentantki Stadjonu.

Pięciobój kobiecy o mistrzostwo Śląska wygrała Orłowska.

W Berlinie odbył się mecz lekkoatletyczny Anglja — Niemcy, w którym szala szczęścia przechyliła się na stronę Anglii.

W niedzielę, dnia 14 września odbyły się w Warszawie międzyklubowe kobiece regaty wioślarskie. Do zawodów stanęły reprezentacje klubów: B. K. W. z Bydgoszczy, Klub Kaliski, oraz z warszawskich: W. K. W. i Sokół. Przebieg zawodów był niezwykle interesujący. Zawody odbywały się na łodziach wyścigowych: scoolach i scoolingach, oraz na łodziach półwyścigowych o lekkiej wadze. Najciekawsza była rozgrywka między Klubem Wojskowym a Sokółem; przez cały czas prowadził Sokół, a w ostatniej chwili przy finiszu, Klub Wojskowy, dopingowany przez publiczność, zdobył pierwsze miejsce.

W sezonie jesiennym odbyły się również mecze tenisowe o doniosłym znaczeniu. Najważniejszy z nich: mecz w Warszawie, na którym Jędrzejowska pobiła Dubieńską, zdobywając tytuł rekordzistki polskiej. Natomiast na rozgrywkach we Lwowie, w grze podwójnej pań: Jędrzejowska, Pozowska przeciwko lwowskim: Orzechowskiej i Wołoszczukowej, lwo-



Drużyna japońska i polska na zawodach w Warszawie.

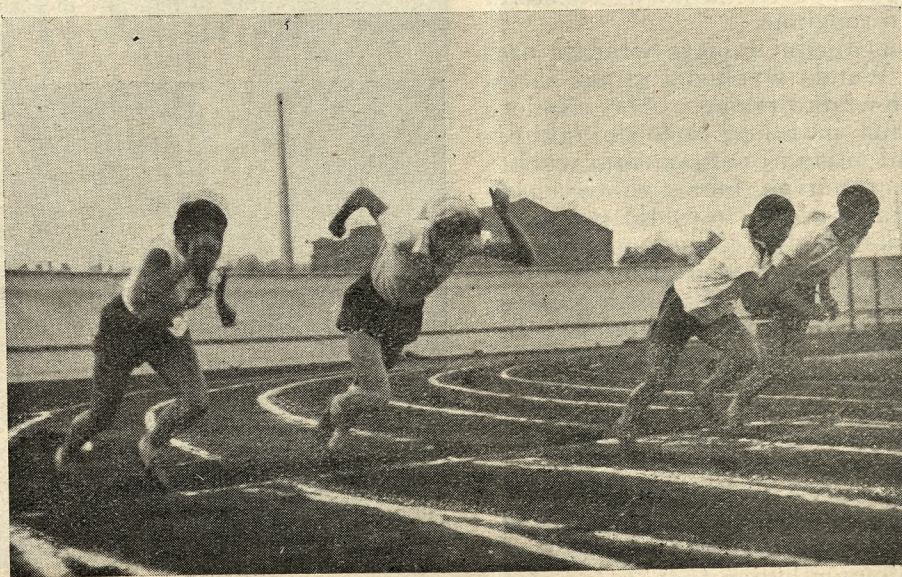
Photo plat

wianki trzymały się świetnie, mimo to jednak zwycięstwo przypadło krakowiankom.

Nietylko sukcesy lekkoatletyczne i tenisowe przypadły polkom w udziale. Również i w raidzie automobilowym i motocyklowym uczestniczyły panie. Zwycięstwo p. Koźmianowej w biegu sportowym na trasie miejskiej we Lwowie jest poważnym sukcesem, zwłaszcza, gdy zważymy, że była ona jedyną startującą kobietą. Trasa lwowska była trudna i ciężka, a biegła ulicami stromymi. Poważne trudności przedstawiały ostre wiraże i serpentyny. Entuzjazm wśród publiczności był olbrzymi!

W sumie biorąc, przekonały nas rozgrywki i zawody jesienne, że kobieta polska nietylko na zawodach międzynarodowych kobiecych umie utrzymać się na poziomie rekordzistki światowej, lecz że i na rozgrywkach mieszanych w niczem nie ustępuje, a nawet niejednokrotnie wyprzedza mężczyzn. Rozgrywki jesienne, to duży krok naprzód w propagandzie sportu, zarówno w kraju, jak i zagranicą.

Emka.



Start w jednym z biegów.

Ś. P. WANDA KWIATKOWSKA

Z honorami wojskowymi złożono do grobu ś. p. Wandę Kwiatkowską, wnuczkę generała Konarzewskiego. Wielką spuściznę objęła ś. p. Wanda po dziadku swoim: gorące serce, ukochanie ojczyzny i hart ducha.

W majątku klasztornym, Czerniejewie, dzierżawionym przez Mazurkiewiczów, 1½ mili od Lublina, stał biały dom. Gdy zmrok zapadał, z poza drzew, rzucających tajemnicze cienie, wylaniali się jacyś ludzie, do cieni podobni.

Słumiony gwizd, chwila ciszy, uchylenie lufcika i coś ciężkiego pada przez okno do pokoju. Stuk o podłogę zagłusza szczekanie psów. „Prędko, jeszcze pakiet z pieniędzmi i listy”. Ludzie znikają. Kurjerka Wanda otrzymała rozkaz. Jutro o świcie wyruszy do Lublina. Opiekunka partji Rudzkiego, Piotrowskiego, Mareckiego i innych, rannym zawiezie żywność. Znają ją w szpitalu, umiała poruszyć stępiałe serca służby. Za jej namową młody żołnierz z Galicji, dziecko prawie, udaje nieboszczyka. Wanda prosi, że chce go własnoręcznie pochować. Młode dziewczęce barki uginają się pod ciężarem, lecz wynosi go het do lasu. Wiezie rannego przez gęste bory, umie zmylić strażę i odstawia go rodzicom. Wraca radosna do domu, do roboty.

Ale jakoś serce ś. p. Wandy nie zwykło było zbyt długo radość w sobie gościć. Musi patrzeć, jak kozacy w Sucholipie palą w owczarni uwięzionych powstańców. Gryzie palce do krwi, ale jest bezsilna. Każdy strzelający w górę płomień spala jej serce. To dzielne serce, w ogniu hartowane, załkało, gdy śmiertelna kula, świszcząca nad jej uchem, trafiła wodza partji — Mareckiego. „Biedna Wanda!” — był jego ostatnie słowa. A przecież ten towarzysz walki o wolność, z którym ś. p. Wanda miała złączyć swe życie na ślubnym kobiercu, nie wiedział, że ukochaną jego czeka więzienie. W Zamościu za kratą więzienną przez 1½ roku Kurjerka Wanda wiązała wspomnienia na nitki łez. Za to, że w Poznaniu przysłała na świat, w Piaskach około Kruszwicy, zwolniono ją, w końcu i odesłano etapem do granicy niemieckiej. Nie zginęła z głodu i zimna. Przytulili ją do siebie zacni ludzie w Toruniu. W domu państwa Kleinów w Poznaniu znalazła drugie ognisko rodzinne.

Powstanie wygasa. Biedni tułacze wracają częściej do kraju. Ś. p. Wanda wychodzi zamąż za towarzysza powstania, Kwiatkowskiego. Ma ośmioro dzieci. Szczęśliwa rodzina, na której czele stoi taki ojciec i taka matka! Pełni miłości i entuzjazmu, wychowują dzielnych, uspołecznionych ludzi, gotowych do czynu. Dom ich w Charkowie — to ostoja polskości. Żaden polak, gdy zastukał do drzwi ich domostwa, nie odszedł niepokrzepiony na duchu i na ciele. Jako sędziwa staruszka, ś. p. Wanda Kwiatkowska jeszcze uczy dzieci, opiekuje się sierotami i starcami. O sobie nigdy nie myśli, nie ma na to czasu.

Gdy przed dwoma laty obchodziła gody brylantowe, w Kaplicy Przytuliska św. Józefa, Ojciec Święty z Rzymu pobłogosławił życie tej pary małżonków-bohaterów. I Prezydent przesłał życzenia.

A teraz, 10-go września, ś. p. Wanda Kwiatkowska na wieczny sen spoczęła w ziemi, którą tak umiłowała. A zapewne tam, za światem, na jej przyjęcie ustawił się w szyku bojowym legion tych, którzy łask od niej doznali za życia....

Aniela Waldenbergowa.

Z TEATRÓW

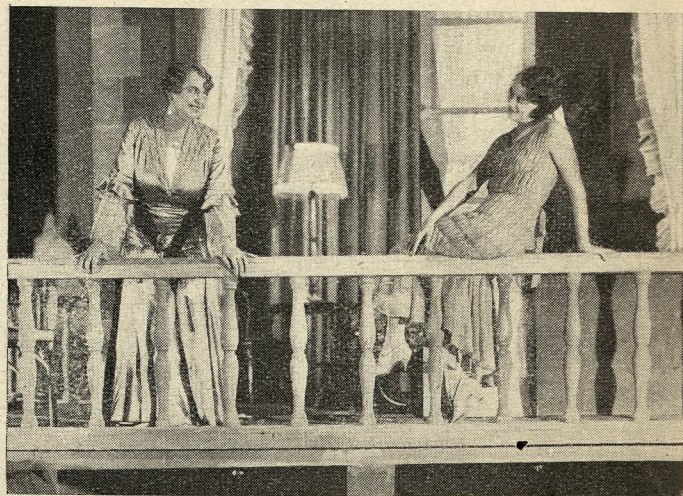
TEATR POLSKI.

„Kawaler-papa” — komedia w 3-ach aktach (siedmiu obrazach) Edwarda Childs Carpentera. Przekład Stanisławy Kuszelewskiej. Inscenizacja i reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje Stanisława Słimińskiego. Muzyka Jana Maklakiewicza. Kierownictwo muzyczne Karola Szustra.

Ten cyniczny pan, który z lowelasa przemienił się już tylko w smakosza, nudził nas w pierwszym akcie. Nie przekonany nas dialog „między panem a doktorem”, prowadzony mało dowcipnie na temat rodziny i dzieci. A potem jeszcze mniej nas interesował spis dawnych kochanek Sir Basila Wintertona, bardzo szczegółowy spis w księdze wydatków. Pan Daczewski (doradca prawny John Ashley) udawał, że to wszystko, co mówi p. Basil, jest zabawne, a my słuchając, doliczyliśmy się — trojga dzieci p. Basila. P. Basil wreszcie gwooli prawdzie, której nie ma powodu nie holdować, stwierdził istnienie tych dzieci, rozprószywszy po świata półkulach. Poczem w przystępie dobrego humoru polecił swojemu wesołemu doradcy prawnemu, żeby te dzieci sprowadził przed oczy rodziciela. Freud powiedziałby może: kompleks dziecka — ale, nie wdając się w psychoanalizę, zaciekawiliśmy się nieco: co będzie dalej?

Narazie jednak, żeby nam popsuć zabawę, scena rotacyjna ukazała nam każde z owych dzieci z osobna. Przy tej sposobności zawiadaliśmy niepotrzebną (jak się później okazuje) znajomość z dwiema ekskochankami p. Basila. Trzecia już umarła i autor nie kazał wywołać jej z za grobu. Westchnęliśmy: lata idą!... A nie tylko śmierć znaczy ich pochod: rolę złośliwego zegara odgrywa znakomicie starość. Sądzę, że zarówno starość sir Basila, jak i starzenie się matek. I dlatego zapewne matki, choć jeszcze wcale niczego, musiały zrezygnować z jakiegokolwiek udziału w dalszej akcji komedji.

Dzieci naprzód, na zdobycie bogatego papy! — rzekły obie matki. Dopiero od tej chwili zaczyna się tempo komedji. Staje się interesująca, żywa, miła. Staje się w miarę śmieszna i trochę nawet rzewna. Proces wzajemnego zdobywania się, narastanie uczuć ojcowskich, kojarzenie się nowych par, a zwłaszcza świetny temperament Romanówny, jako amerykańskiej córeczki Tony — zjednał nas dla „kawalera-papy”. Stępowski ani na moment (i słusznie zresztą) nie zapomniał, że to komedia i że nie trzeba tej sprawy ojcostwa brać problemowo. Znacznie później, z nawyku raczej, niż z przekonania, zaczęliśmy gromadzić zarzuty przeciw temu papie, który tyle lat nie chciał być papą. Ale ostatecznie — nie bądźmy nieprzejednani: przecież poprawił się. A iluż to papciów nie „rubrykuje” swojej „naturalnej” progenitury i nie wie: czy, gdzie i ile!



Marja Mokrzycka i Karolina Lubieńska w sztuce „Kawaler-papa”

Jeżeli sztuka, prócz zabawienie nas, ma jeszcze jakieś cele moralizatorskie — to, daj Boże, żeby je osiągnęła. Kawaler-papa postąpił po ludzku, choć bezwiednie, jedynie dzięki chwili — dobrego humoru. Ale — dobry żart tynfa wart...

Prócz wymienionych, grali w tej sztuce z powodzeniem — wszyscy i napewno można się zacząć dobrze bawić — od drugiego aktu.

Herminja Naglerowa

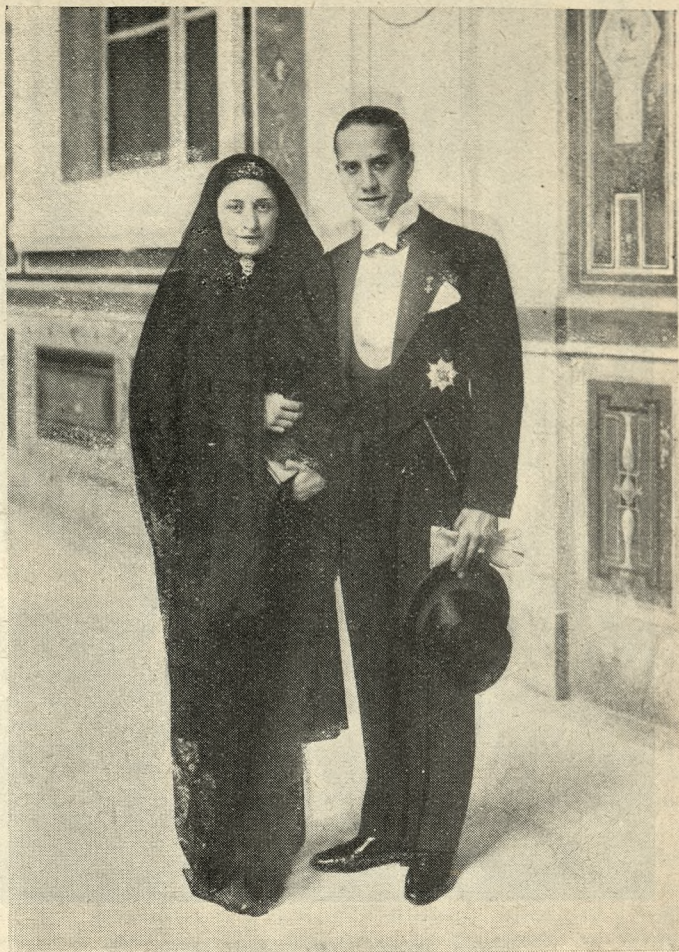
KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

JAK TEŻ WYPADNIE TA WRÓŻBA?

W każdym prawie wielkim konflikcie politycznym znaleźć można i element komiczny; w dzisiejszych poczynaniach zjednoczonych, odwetowych partij niemieckich jest coś więcej: formalna groteska, prosząca się o pióro satyryka. Oto ni mniej ni więcej, tylko leaderzy stronnictw zawezwali specjalnie z Indyj jasnowidzącą, panią Lailę, aby... przepowiedziała, jaki los czeka Niemcy. W tym celu odbyć się ma w przyszłym tygodniu specjalna konferencja z panią Lailą, o której z jednej strony chodzą wieści, że przewidziała szczęśliwy rezultat lotu transatlantyckiego Costes'a i Bellonte'a, z drugiej, że jest nie tyle hinduską, ile żydówką. W każdym razie ciekawe byłoby, gdyby jasnowidząca przepowiedziała, że zakusy niemieckie czeka fiasco. Biedni politycy nie byłiby chyba zadowoleni, gdyż koszty sprowadzenia jasnowidzącej i jej przepowiedni są pewno dosyć wysokie.



P. Laila „z Indyj”.



Przed wizytą o Ojca Świętego.

PO BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

Zaślubiona niedawno para, p. Edda Mussolini i hrabia Galeano Ciari zostali przyjęci przez Papieża. Rycina nasza przedstawia młodą parę, na chwilę przed audjencją u Ojca Świętego. Pani Ciari ma na sobie, stosownie do ceremonjału przyjęć w Watykanie, wielki szal koronkowy, spięty pod szyję i osłaniający głowę i całą postać.

ÓSMY KRZYŻYK OBLUBIENICY.

Przed paru laty cała Europa została poruszona ekscen-trycznym małżeństwem księżny Wiktorji Hohenzollern, siostry ekscesarza niemieckiego, liczącej przeszło sześćdziesiątkę, z dwudziestoparoletnim emigrantem rosyjskim, Zubkowem, synem lekarza z Rostowa, czy Odessy. Pisano, oburzano się, plótkowano i wrócono nieszczęście, naturalnie słusznie. Po dwuletnich perypetjach małżeńskich, biedna „młoda” małżonka umarła. Nie było nawet kłopotu z sukcesją, gdyż obdarzony „szeroką ruską naturą” mąż zdążył przepuścić olbrzymi majątek byłej księżnej.

Obecnie został zawarty drugi związek, który poruszył arystokratyczne sfery kilku państw i który ma pewne cechy podobieństwa z tamtym. Księżna Karolina Konstancja de Broglie, jedna z najbogatszych kobiet francuskich, licząca sobie obecnie tylko... 75 lata, zaślubiła księcia Ludwika Ferdynanda de Bourbon, który ma lat 41.

Naturalnie, są i duże różnice między tem małżeństwem, a zaślubieniem Zubkowa przez księżnę Wiktorję. Przedewszystkiem oboje małżonkowie należą do tej samej klasy społecznej; dalej, miłość ich przeszła próbę czasu, księżę Ludwik Ferdy-



Panna „młoda“, jest jednak stara.

nand bowiem kochał się w swej dzisiejszej żonie od lat... dwudziestu; wreszcie nie liczył zapewne na jej majątek, sam bowiem jest bardzo bogaty i, jako cioteczny brat króla hiszpańskiego, mógł chyba wybrać sobie posażną żonę.

Naturalnie, rodziny obojga „państwa młodych“ robiły wszystko, co mogły, aby ich związkowi przeszkodzić. Próbowano zrobić księżną niepo czytelną, jeden z jej siostrzeńców wystąpił nawet do sądu; tam powiedziano mu jednak, że ciotki nie podlegają prawnej władzy siostrzeńców! Pomimo tego, można i wpływową familja potrafiła uniemożliwić kilkakrotnie zawarcie ślubu; wreszcie znudzeni księstwo wyjechali do Anglii i tu wzięli ślub w urzędzie cywilnym w Londynie.

Jak długo potrwać miodowe miesiące? Któż zgadnie! Oblubieńcy liczą razem sto czternaście lat, powinni więc umieć traktować poważnie swe obowiązki.

DRUGA LIGA W GENEWIE.

Podczas obrad Ligi Narodów bardzo intensywnie pracuje w Genewie czasowe Biuro Międzynarodowe Związków Kobiecych, mieszczące się przy ul. Saussure 6. Wybitnie inteligentna, energiczna, prawdziwie wielki dyplomata, sekretarka Międzynarodowego Związku praw wyborczych i Pracy obywatelskiej, panna Emilja Gourd, jest duszą wszystkich zebrań. Naturalnie przybyły do Genewy wszystkie „asy“, przewodnicząca Związku p. Corbett Ashby, oraz inne członkinie głównego zarządu, angielski, francuski, czeski, włoski. Narady przeplatane są zebraniem towarzyskimi i wycieczkami. Kontakt z zebraniem Ligi i Międzynarodowym Biurem Pracy stale jest utrzymany, obok oficjalnych narad Ligi, pracuje i tętni życiem Wielka Liga Kobieca.

KOBIETA ODKRYŁA ŚRODEK NA MĘSTWO.

Prasa codzienna angielska pisze obszernie o wynalazku kobiety-lekarki, Miss Adams, która jakoby dokonała odkrycia środka, pobudzającego męstwo.

Przed audytorjum uniwersytetu w Cambridge Miss Adams odczytała rozprawę, dowodzącą, że brak odwagi wynika tylko z braku we krwi danego osobnika pewnych składników chemicznych, podczas gdy krew ludzi odważnych ma tych składników dużą ilość. Tajemniczy ten czynnik odwagi nazwała wynalazczyni „adrenolinem“ (nie to samo, co adrenalina). Można go będzie podobno zastrzykiwać.

OPIEKUNKI EMIGRANTÓW.

Pod kierownictwem p. Lucji Kipowej odbył się, zorganizowany staraniem Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, dwudziestodniowy Kurs dla Pracownic instytucyj społecznych opieki nad emigrantami we Francji. Program Kursu obejmował naukę o istocie emigracji, organizację władz emigracyjnych w Polsce, konwencje emigracyjne francusko-polskie, ochronę pracy we Francji i Polsce, stowarzyszenia opieki nad emigrantami, opiekę społeczną, szkolnictwo, organizację wychodźstwa i t. p.

Słuchaczek było przeszło 20, z tych wszystkie z wykształceniem średnim, kilka z uniwersyteckiem. Zadaniem absolwentek kursu będzie praca społeczna w dużych ośrodkach emigracji polskiej we Francji.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Na pociechę przyszłej ludzkości, możemy sobie powiedzieć, że będzie ona jednak inna, niż obecna, inna dlatego, że przyszłe pokolenia wychowają kobiety dzisiejsze, te kobiety, które nie tylko świadome są swoich obowiązków obywatelskich, nie tylko do nich i do życia publicznego już niejednokrotnie zaprawione, ale które nadto w życiu tem zdobyły już sobie poważne wpływy. Te kobiety napewno będą umiały synom swoim zaszcześcić zasady sprawiedliwości społecznej i politycznej, a córki nauczyć głębokiego zainteresowania i działalności w kierunku usunięcia krzywd społecznych i pokojowej współpracy narodów.

Jak na tę współpracę zapatrują się kobiety, mieliśmy ostatnio przykład w Genewie. Międzynarodowa Liga Praw Wyborczych i Pracy Obywatelskiej Kobiet, zrzeszenie, reprezentujące kilkadziesiąt milionów członkiń z kilkudziesięciu krajów, złożyło na ręce przewodniczącego obecnej assemblée Ligi Narodów, ministra rumuńskiego Titulescu, orędzie przeciwko wojnie.

Pacyfistyczne dążenia kobiet wszystkich krajów są znane; o ile kobieta potrafi (czego niejednokrotnie, w różnych krajach i epokach złożyła dowody) walczyć w obronie swego kraju, lub do tej walki wszelkimi siłami i całym poświęceniem osobistym pomagać, o tyle żadna z kobiet wojny nie pragnie.

To jest znane i wiadome, ale ostatnie wystąpienie Związku w Genewie ma jedną jeszcze znamioną cechę: bezwzględnej sprawiedliwości pacyfistycznej, rozumu, odwagi i pewnego, bądź co bądź, poczucia własnej siły.

Sytuacja bowiem obecnego pokoju w Europie, nie będąc jeszcze groźną, jest jednak naprężona. Wybory niemieckie, ostatnie w Lidze skargi Niemców na metody regulowania spraw mniejszości, stosunki włosko-jugosłowiańskie, to są wszystko bolesne, które, od czasu do czasu, wywołują zaniepokojenie i groźne akcenty. W Niemczech zaś bodaj, czy nie zanoszą się na rewolucję, która bardzo poważnie mieć może następstwa w polityce międzynarodowej. W takiej chwili oficjalny protest olbrzymiego związku kobiecego, złożony Lidze Narodów, nabiera specjalnego znaczenia. Jest to ostrzegawcze memento, że naruszenie pokoju spotkałoby się z energicznym oporem milionów ludzi (tak jest!), nie, jak dawniej, nieświadomych i nie znaczących *kobiet* tylko, ale równouprawnionych obywateli.

Kobiety niemieckie powinnyby na to genewskie orędzie kobiecie zwrócić najbaczniejszą uwagę.

GOSPODARSTWO KOBIETY PRACUJĄCEJ ZAWODOWO

II. DOM A WSPÓŁCZESNOŚĆ

A teraz jeszcze inna strona medalu. Przypatrzmy się trochę sposobom i przeciętnym metodom domowej pracy w Polsce. Rychło zauważymy, iż doskonale przepisy naszych prababek są wielokrotnie w całej pełni honorowane. A minęło od owego czasu 100, 300, a może 500 lat. Coś jednak na świecie się zmieniło. Gospodarowanie zaś w domu stoi na miejscu. Czy może być dobrze?

Dom z receptami gospodarskimi z przed pokoleń musi stać się arką Noego, obok której leżą samochody i furkoczą samoloty... Cóż dziwnego, że niema harmonii między tym domem a życiem współczesnym?

Kardynalne czynności domowe, jak przyrządzanie pożywienia, pranie i prasowanie, szycie, porządki domowe — robi się wciąż tak, jak przed wiekami. Zaledwie skąpa ilość nowoczesnych wynalazków: elektryczność, gaz, została zastosowana w gospodarstwie domowym, a i to są one niedostępne dla olbrzymiej większości domów, ze względu choćby tylko na ich obecną cenę i brak odpowiednich urządzeń. Modernizacja gospodarstwa domowego jest wciąż jeszcze niezrealizowanym postulatem.

Przedewszystkiem choćby pod względem wykorzystania sił kobiecych. Weźmy 1000 domów, w których codziennie tysiące kobiet kucharek, z musu, nie z zawodu, gotuje 1000 poszczególnych obiadów, zużywając na to 5.000 godzin. Tymczasem owe 1000 rodzinnych obiadów mogłyby być z powodzeniem ugotowane przez 200 fachowych osób, które zużyły na to tylko 600 godzin. A sądzę, że możnaby to zrobić jeszcze oszczędniej.

Marnowanie sił kobiecych i czasu gospodyń na zajęcia domowe jest jednym z największych grzechów naszego systemu życia domowego. Posłuchajmy co pisze amerykanka, Alice Beal Parsons w swej ciekawej, choć nie najnowszej książce p. t. „Dylematy kobiece”. „Gospodaruje się obecnie metodami przestarzałymi o 100 lat. Dziewięćdziesiąt dziewięć setnych ludzkiej działalności — jeśli mowa o kobietach gotujących w domu — jest źle wykorzystana, zmarnowana. Stosuje się prymitywne metody, wskutek czego kobieta jest, chcąc nie chcąc, „Jasiem do wszystkich pomysłów domowych”. W naszej cywilizacji musimy już mieć wykwalifikowanych pracowników i specjalistów, równie dobrze kobiety, jak i mężczyźni...”

„Kobiety — pisze w innym miejscu p. Parsons — mają tak samo różnorodne zamiłowania i zdolności, jak mężczyźni (autorka powołuje się na naukowe badania psychologiczne i psychotechniczne). Gdy są zmuszane, wbrew swym zamiłowaniom, do wykonywania — i to w dodatku zapomocą metod bezsensownych z punktu widzenia ekonomicznego — tych osobliwych czynności mycia, gotowania, zmiatania, ścielenia łóżek i naprawiania bielizny, które to czynności są obecnie pozostałością dawnych o wiele liczniejszych i bardziej skomplikowanych obowiązków, należących niegdyś do pani domu, to indywidualność kobiety może być zupełnie wykoszlawiona i odwrócona od jej naturalnych skłonności. Aby zrobić z niej lichą kucharkę, marnujemy doskonałą pielęgniarkę, lekarzkę, ogrodniczkę, lub chemiczkę; wymieniamy tylko za-

wody, które mają bezpośrednio związek z dobrobytem i powodzeniem ogółu rodzin. A, robiąc z niej lichą kucharkę, marną pokojówkę, dyletantkę, nieumiejącą przygotować należytego pożywienia dla dzieci, narażamy zdrowie i szczęście rodziny”.

— A więc — twierdzi autorka amerykańska — nie każda kobieta jest stworzona na gospodynię domu i, co więcej, jedna osoba nie jest w stanie dobrze spełnić wszystkich prac, jakimi dotychczas obciążano gospodynię domu. Rezultatem tego było z konieczności, że pani domu, nie mogąc dobrze lub doskonale umieć wszystkich bardzo różnorodnych czynności, jakie na nią wkładano, musiała je spełniać niedobrze, po dyletancku — po partacku.

Na tym poziomie cywilizacji, na jakim żyjemy obecnie, musimy jednak mieć i w dziedzinie gospodarstwa domowego siły wyspecjalizowane, fachowe.

Dezyderatem więc jest taki podział pracy, by inna osoba zajmowała się kuchnią, inna sprzątaniami, inna praniem, naprawkami, inna wreszcie hodowaniem dzieci, w szczególności niemowląt. Tak dzieje się już obecnie w wielkich, zamożnych domach; jeśli nie daje to idealnego rezultatu, to najczęściej dlatego, że brak tam zazwyczaj dobrego naczelnego oka, kontroli, organizacji pracy domowej.

Tak paląca sprawa wobec głodu mieszkaniowego i starodawnych niehigienicznych mieszkań w miastach i w miasteczkach naszych, jak budowa tanich pralni mechanicznych, wciąż jeszcze wisi w powietrzu. Trzeba powiedzieć, że jest to kwestja życia i śmierci dla zamożnych i ubogich. Dla pierwszych pranie w domu, to plaga, budząca wstręt, wprowadzająca niepokój w życie; rewolucja z oparami i wyziewami mydlin. Dla ubogich, to trucizna w izbie, zawilgoconej i smrodliwej, posiew gruźlicy i reumatyzmu. Kobiety, które są radniami miejskimi, zaiste, mało okazały energii i wpływów na tem polu. Być może, że niedostatecznie były poparte przez wyborczyń.

Inną ważną potrzebą jest dostosowanie budownictwa mieszkaniowego do warunków gospodarstwa domowego w celu umożliwienia jak najdalej idących udogodnień. Wciąż robi się postępy na tem polu, zarówno zagranicą, jak i u nas, gdzie młode architektki ze specjalną dbałością studjują ulepszenia i urządzenia gospodarcze mieszkań. Standaryzacja kuchni, planu mieszkania etc., są to ważne zdobycze — niestety jeszcze bardzo mało rozpowszechnione.

Duże pole mają przed sobą zupełnie jeszcze niezorganizowane u nas systemy usług, koniecznych dla gospodarstwa, prowadzonego bądź sposobem kolektywnym, bądź społecznym, bądź kupieckim i przemysłowym. Naprzykład, choćby taka sprawa dostaw produktów spożywczych do domu, napój przygotowanych jarzyn, mięs, potraw. Organizacja taka istnieje w Ameryce, Francji, Niemczech i t. d., upraszcza doskonale sprawę zakupów, czyniąc zbędnym wychodzenie pani domu lub służącej na uciążliwe i marnujące czas sprawniki codzienne.

Dlaczego np. rozpowszechnione w skandynawskich miasteczkach zamawianie posiłków w restauracji, która dostarcza je do domu lub na wycieczkę, nie byłoby możliwe i u nas? Oczywiście, nie mogłoby to być rozróżnieniem na prostej drodze i trucie ludzi, jakie uprawia się niekiedy w naszych zakładach gastronomicznych. Kwestja uczciwości, kalkulacji i rzetelności.

Jadwiga Krawczyńska

NIECO O MLEKU W AMERYCE

W szeregu przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, jakie składają się na ułatwienie i rozwój wszechstronny codzienności amerykańskiej, jednym z naczelnych jest z pewnością organizacja sprzedaży mleka.

Może kwestja to wyostrego na sprawy odżywiania zmysłu matki i gospodyni, może przypadek: zetknięcie się odrazu, w początkach pobytu w Chicago, z wielką, polską firmą mleczarską, dość, że sprawa ta zainteresowała mnie bardzo prędko. Zauważyłam odrazu, że picie mleka jest tu rozpowszechnione, zarówno wśród dzieci, jak i starszych. Mleko niegotowane, przeciwnie — z lodu — wylane wprost z butelek i takąż śmietanka stanowią nieodłączną część każdego prawie posiłku. I są doskonałe! Kiedy pytałam, czy to zdrowo pić mleko surowe i dodawałam, że u nas przed użyciem gotuje się je, odpowiadano mi ze zdziwieniem, że właśnie surowe jest najzdrowsze i że kto widział pić mleko gorące?

Oczywiście! Każdy wie, jak dalece mleko traci swe własności odżywcze, gdy je przegotować, ale któż z rozsądnych ludzi odważy się w Polsce pić je na surowo?

Co innego w Ameryce.

Tu przemysł mleczny ujęty jest w ścisłą organizację, która z postępową wiedzą i techniki doskonaliła się coraz bardziej i obecnie znajduje się w stanie naprawdę bliskim ideału. Mleko stało się pożywieniem ludzi każdego wieku i spełnia swą rolę jako produkt pełnowartościowy, znajdujący się pod stałą kontrolą władz sanitarnych, podany w stanie czystości nienaganej, dostarczany z bezwzględną punktualnością, dostępny dla każdej kieszeni — jest niezastąpiony!

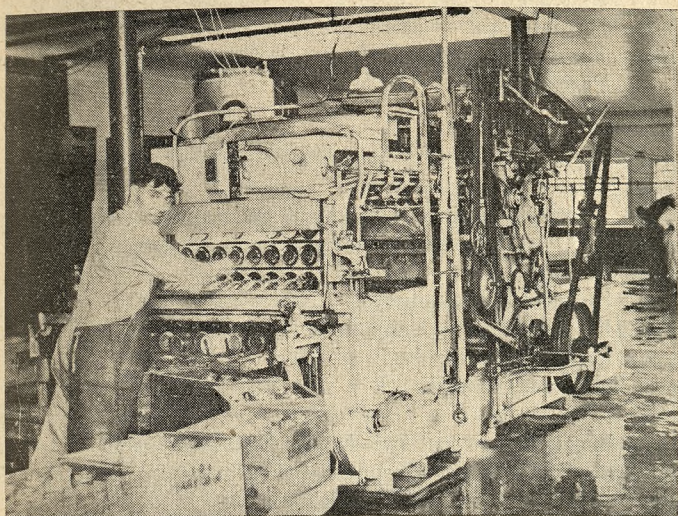
Wędrówkę mleka — z pastwiska do progu odbiorcy — ująć można w 11 punktów. Bardzo interesującą rzeczą było zwiedzenie jednego z większych zakładów mleczarskich w Chicago, znajdującego się w ręku polaka, p. Boydy, gdzie owe 11 punktów można było z łatwością przestudjować.

A więc: pierwszą czynnością jest nieustanna inspekcja krów na farmach (folwarkach). Zajmuje się tem Departament Zdrowia, wchodząc we wszelkie szczegóły urządzenia obór, stanu i wyglądu krów, dojenia, zlewania i transportowania mleka. Sztuki, dotknięte gruźlicą, są najbezwzględniej usuwane, a próby uniknięcia kontroli — karane najsurowiej.

Odpowiedzialność farmera ustaje, gdy zleje on zamówioną ilość mleka do zbiorników odbiorcy, gdzie mleko przede wszystkim ochładza, a wszystkie naczynia, przywiezione z farmy, poddają szczegółowej sterylizacji dla dalszego użytku. Tuż zaraz odbywa się badanie bakteriologiczne dla określenia jakości produktu. Dostawa mleka do metropolii — mówię oczywiście o Chicago — jest, jak widzimy, czwartym już etapem jego historii. Jazda odbywa się w wozach, zbliżonych budową do olbrzymich termosów, t. j. szklanych wewnątrz, izolowanych i ochładzanych, tak, że mleko przybywa do stolicy w stanie absolutnie takim, w jakim zostało z farmy odebrane. Teraz, za pomocą rur, jest ono natychmiast przeprowadzone do rezerwoarów, znajdujących się już w samym zakładzie danej firmy i następuje punkt szósty, najważniejszy — pasteuryzacja mleka. Jak wiadomo, polega ona na ogrzaniu płynu do 142 lub 145° Fahrenheita i przetrzymaniu go w tej temperaturze przez 30 minut, poczem należy go raptownie ochłodzić. Wszelkie bakterje szkodliwe giną w ciągu tej operacji i mleko osiąga pełnię zdrowotności. Oziębianie odby-



Wóz, dostarczający mleko z farmy do zakładu w mieście. Wskazuje nań pan Boyda, właściciel jednego z większych zakładów mleczarskich polskich w Chicago.



Maszyna do mycia, odlewania, napełniania i zamykania butelek.
Robotnik rzuca zużyte butelki do odpowiednich otworów.
Wychodzą gotowe do rozwożenia po domach.

wa się przy temperaturze 8° poniżej punktu marznięcia, a z jednych kotłów do drugich wędruje mleko samo przez cały system rur i jest nieustannie obserwowane.

Bardzo ważny i interesujący moment fabrykacji stanowi mycie, napełnianie i stemplowanie butelek. Trzy te czynności spełnia jedna, niezmiernie dowcipna maszyna, którą obsługują trzej robotnicy. Ale oni spełniają jedynie pracę nadzorczą, ręka ludzka raz tylko dotyka butelki, wtedy, gdy podsuwa ją do mycia. Potem butelka przechodzi już sama przez kilka stopni sterylizacji, aż napełniona i zapieczętowana stanie się znowu dostępną ujęciu bez niebezpieczeństwa dla zawartego w niej napoju. Taka maszyna jest bardzo kosztowna, ale znajduje się już teraz w każdym z większych polskich zakładów mleczarskich w Chicago.

Podobnie, jak butelki, myte są i sterylizowane wszelkie szczegóły urządzenia fabrycznego. Czystość, prawdziwa czystość, w całym znaczeniu tego wyrazu, panuje w murach zakładów mleczarskich.

Gotowe już butelki idą bezzwłocznie do wielkich lodowni, urządzonych w sposób naukowy. Stamtąd dopiero zabiera je t. zw. milk-men, t. j. ten, który mleko rozwozi po mieście.

Zanim więc znany wszystkim, biały wózek milkmena, zaprzężony w rosłego perszerona, zatrzyma się przed domem, muszą odbyć się wszystkie opisane wyżej czynności. W samym tylko Chicago 12 tysięcy ludzi potrzebnych jest na to, aby butelka pasteryzowanego, pełnowartościowego mleka znalazła się na stole odbiorcy. Ale zato, ileż w niej składników zdrowia, ile cennego materiału odżywczego! Jaka pewność, że napój, który stanowi główny pokarm niemowlęcia, potężną odżywkę organizmu rosnącego i podtrzymanie sił dla starca — jest wszechstronnie zbadany, ochroniony i bezwarunkowo czysty.

Sądę, że i u nas czas już jest niedaleki, kiedy centralna, na naukowych podstawach oparta organizacja państwowa, zastąpi niedostateczną, a często elementarnym zasadom higieny sprzeciwiającą się spekulację prywatną w dziedzinie mleczarstwa. Pragnęłabym, aby to nastąpiło jak najprędzej!

M. Znatowicz-Szczepańska.

PIERWSZY ZJAZD PAŃ DOMU

W dniach 21, 22 i 23 października odbędzie się w Warszawie pierwszy Zjazd Pań Domu, zorganizowany wspólnymi siłami osób i instytucji, mających na celu dotarcie do najszerszego ogółu kobiet polskich, pozyskanie ich dla swojej idei i zachęcenie do wspólnej pracy w myśl hasła: „W jedności siła”.

Kobieta, stojąca na czele domu i gospodarstwa domowego, docenia swe stanowisko, wie, że od osiągnięcia pewnego stopnia doskonałości w sferze jej zatrudnień i obowiązków zależy w dużej mierze prawidłowa gospodarka ogólnokrajowa, wzrost zdrowia duchowego i fizycznego w społeczeństwie, wzrost dobrobytu i równowaga ekonomiczna.

Napozór mogłoby się zdawać, że poszczególna rodzina, mniej lub więcej prawidłowa jej gospodarka, wyższa, czy niższa skala kultury, jaką w ścianach swego domu oddycha — to rzecz prywatna, niewywierająca wpływu na ogólny bieg spraw w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Człowiek, nie wybiegający wyobraźnią poza szczupły krąg własnych zainteresowań, może łatwo nie docenić faktu, że te właśnie zamknięte komórki są częściami składowymi olbrzymiego organizmu, któremu na imię „społeczeństwo”. Od tego, jak pani domu administruje funduszem, przeznaczonym na utrzymanie rodziny — bez względu, czy na fundusz ten składają się dziesiątki, setki, czy tysiące złotych — zależy równowaga materialna, moralna, zdrowie i radość życia nie tylko jednej rodziny: z tych poszczególnych rodzin promieniuje, albo szereg niedomagań natury ogólnej, albo teżyzna, kultura, należyte przygotowanie do życia i pracy twórczej, a tem samem zdrowie społeczne. W dobrze zorganizowanym, dobrze prowadzonym domu, opartym na podwalinach prawidłowego budżetu panuje wolna od wstrząsów i załamań, pogodna atmosfera; dom taki — to szkoła, z której wynosi się w życie maximum dobra: prawomyślność, praworządność, obowiązkowość, poszanowanie pracy i jej dodatnich wyników, poszanowanie rodziny, ukochanie tego, co mieści w sobie nikt napozór słowo „dom”, solidarność, kulturę zewnętrzną i duchową, poczucie odpowiedzialności za skalę własnego i cudzego bytowania, siły i zdrowie fizyczne — wszystko to, co z czasem na terenie założonej przez absolwentów tej szkoły, nowej rodziny, na terenie pracy zarobkowej i społecznej stanie się zogniskowaniem walorów o najcenniejszym ciężarze gatunkowym.

Niewiele jest dzisiaj kobiet, które nie doceniałyby należycie swej przodującej roli w społeczeństwie; niewiele takich, które nie rozumiałyby, jak poważna odpowiedzialność spada na ich barki w obliczu ekonomicznego kryzysu, jaki przeżywamy. Niedostatek — to wróg zacięty, to bakterja, zatruwająca organizm jednostki i ogółu. Przed tym właśnie niedostatkiem, ze wszystkimi jego fatalnymi skutkami, broni dzisiaj rodzinę — kobieta. Kobieta-matka, która swą zapobiegliwością, staraniem, pracą, przerastającą niejednokrotnie jej siły i przygotowanie, stara się wznieść obronny szaniec pomiędzy swoimi najbliższymi i wrogiem; kobieta-żona, która umie pogodzić pracę zarobkową z obowiązkami pani domu, dźwigając w ten sposób podwójny ciężar na swych barkach, dźwigając go jednak z uśmiechem i bez odarcia życia rodzinnego z jego największego dobra i uroku — pogodnej atmosfery domowej.

Przekształcone warunki bytu domagają się nowych systemów. Na powierzchni naszego bytowania zanika coraz wyraźniej tak powszechny dawniej „system gospodarski” — zastępujemy go „systemem naukowym”, któremu przoduje „naukowa organizacja pracy”. Bez tych źródeł wiedzy i uświadomienia, w jaki sposób można prostymi i łatwymi środkami trafić do celu, bez szeregu udogodnień, jakie nauka i wynalazki z dziedziny gospodarstwa wnoszą w krąg tej właśnie gospodarki domowej — trudne, a nawet niemożliwe byłoby osiągnięcie dodatnich wyników, tam, gdzie chodzi o oszczędność czasu, ilości rąk, pieniędzy, bez szkody dla całości kształtu. To też dzisiaj kobieta musi wnieść ze sobą w życie duży zasób wiedzy specjalnej i to wiedzy wszechstronnej, jeżeli chce godnie odpowiedzieć zadaniu. Nie wystarczy bowiem w dobie obecnej do przyjęcia święceń na „kapłankę domowego ogniska” umiejętność upieczenia kruchych ciasteczek, zadysponowania obiadu z uwzględnieniem gustu domowników, przyjęcia gości, ładnego ubrania się, no i wyręczania się służbą.

Musimy wszystkie, nawet te, których budżety pozwalają na trzymanie służby, znać podstawowo budowę i sposób obsługiwanie maszyny domowej, aby przy stosunkowo najmniejszym zużyciu pieniędzy i czasu, który wszak w dobie obecnej ceni się na wagę złota, osiągnąć najdodatniejsze wyniki.

W myśl tych postulatów, kobiety-polki dążą do zrzeszenia się. Na czele staje Koło Studjów Gospodarstwa Domowego, Instytut Gospodarstwa Domowego, Naczelna Rada Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, Koło Ulepszania Metod Pracy Domowej, Organizacja Gosp. Domowego, Stow. Zjedn. Ziemianek — usiłując zgromadzić pod swoim sztandarem najliczniejsze zastępy kobiet, które, korzystając z dorobku nauki i doświadczenia osób, śledzących za postępem, będą pionierkami nowej ery w dziedzinie gospodarstwa domowego i życia rodzinnego, opartego na zdrowych fundamentach wszechstronnego przygotowania do roli, jaka im przypada w udziale.

Pierwszy Zjazd Pań Domu ma na celu zrzeszenie pań domu na całym terenie Rzeczypospolitej, uzgodnienie dążeń i wspólnej pracy z myślą o lepszym jutrze; uświadomienie kobiet o doniosłym znaczeniu zawodu gospodyni domu, zachęcenie do nauki i postępu w tym zawodzie, wreszcie opracowanie projektów wspólnej organizacji i statutu Zrzeszenia.

Program Zjazdu kształtuje się w sposób następujący:

Dn. 21.X. — PIERWSZY DZIEŃ.

Msza św. o godz. 9-ej w kościele św. Krzyża.

Otwarcie Zjazdu o godz. 10-ej w sali Stow. Techników (ul. Czackiego 3/5).

Referat p. Izy Mandukowej: „Cele i korzyści zrzeszenia się pań domu”.

Dyskusja.

Referat p. Janiny Huberowej: „Instytuty Gospodarstwa Domowego w Polsce i zagranicą”.

Dn. 22.X. — DRUGI DZIEŃ.

Przed poł. Komisja Organizacyjna Zrzeszenia.

Kursy: 1 godzina — p. Iza Mandukowa: „Technika Organizowania Kół Gospodarstwa Domowego”.

Zwiedzanie instytucji.

Po południu — Kursy: 2 godziny — p. Irena Szumlakowska: „Zasady Organizacji Pracy w Gospodarstwie Domowym”. Przezrocza.

Dn. 23.X. — TRZECI DZIEŃ.

Przed południem — Kursy: 3 godziny — p. Marja Chmieleńska: „O nowoczesnych urządzeniach gospodarskich” (z pokazem).

Zwiedzanie instytucji.

Po południu — Uchwalanie wniosków.

Zamknięcie Zjazdu.

Wspólna kolacja.

Przewidziane jest zwiedzenie: Instytutu Gospodarstwa Domowego, Seminarjum Gospodarstwa Domowego, Instytutu Higieny, Ośrodka Zdrowia i innych.

Udział w Zjeździe mogą wziąć delegatki stowarzyszeń, oraz osoby prywatne, interesujące się sprawą gospodarstwa domowego. Delegatki powinny posiadać pełnomocnictwo do decydowania poruszanych na Zjeździe spraw.

Oplata za uczestnictwo w Zjeździe wynosi zł. 15 od osoby; w grupach powyżej 20 osób — zł. 10. Zgłoszenia zapisów na kolację i opłaty będą przyjmowane w dniu otwarcia Zjazdu.

Karty uczestnictwa w Zjeździe wydaje i wysyła Sekretarjat Zjazdu po otrzymaniu opłaty; zgłoszenia i opłatę należy przysyłać do Sekretarjatu pod adresem: Sekretarjat Zjazdu — ul. Mokotowska 51/53 w Warszawie.

Zgłoszenia osobiste od godz. 11 do 15.

W skład Komitetu Organizacyjnego wchodzi Panie:

Marja Ankiwiczowa — kierowniczka działu kobiecego „Polskiego Radja” w Warszawie; Ludwika Bormannowa-Żelazowska — sekretarka Komitetu Org. Zjazdu; Eleonora Czarnowska — przewodnicząca Stow. Zjednoczonych Ziemianek w Warszawie; Janina Huberowa — dyrektorka Instytutu Gospodarstwa Domowego w Warszawie; Marja Karczewska — przewodnicząca Naczelnej Rady Gospodarczego Wykształcenia Kobiet w Warszawie; Halina Mamelokowa — z Sosnowca; Iza Mandukowa — przewodnicząca Koła Studjów Gospodarstwa Domowego i przewodnicząca Komitetu Org. Zjazdu w Warszawie; Kamilla Nitschowa — przewodnicząca Sekcji Gosp. Dom. Śląskiego Koła Naukowej Organizacji w Katowicach i Krakowie; Marja Romanowa — redaktorka „Organizacji Gospodarstwa Domowego” w Warszawie; Teresa Skórzewska — przewodnicząca „Koła Ulepszania Metod Pracy Domowej” w Poznaniu; Irena Szumlakowska — przewodnicząca Rady Instytutu Gospodarstwa Domowego w Warszawie.

Komitet Organizacyjny Zjazdu zwraca się do wszystkich kobiet z wiarą, że poprą jego usiłowania i że na Zjeździe nie zabraknie przedstawicieli żadnej okolicy Polski, której dobro przyświecać będzie przyszłemu Zrzeszeniu.

Zebranie Organizacyjne Zjazdu położyło specjalny nacisk na zupełną apolityczność Zjazdu i przyszłego Zrzeszenia. Zadaniem przewodniczącej Zjazdu będzie podkreślenie tego stanowiska w chwili otwarcia Zjazdu i utrzymanie go podczas obrad.

Wanda Dobrzańska.



JAK ZABEZPIECZYĆ SIĘ PRZED OTRUCIEM GRZYBAMI

Problem to trudny i zawily, bo wiele przyczyn składa się na to, że ludzie zatruwają się grzybami, nawet kupowanymi na miejskich targowiskach pod kontrolą odpowiednich funkcjonariuszów.

Przyczyny zatrucia grzybami są dwojakie; nazwijmy je: pozadomowe i domowe. Jasna rzecz, że do pierwszych należeć będzie przede wszystkim rodzaj grzyba. Ale i „najprawdziwszy” grzyb może stać się śmiertelnie trujący, o ile jest już w stadium rozkładu. Z mięsem zwierzęcym w tym wypadku bieda o wiele mniejsza, boć „śmierdzi” i wonią swą ostrzega człowieka przed niebezpieczeństwem.

Ale rozkładający się grzyb nie „śmierdzi”! Białko w nim wprawdzie (niemal zwierzęce), rozkładając się, wytwarza — tak samo, jak w mięsie zwierzęcym — jad trupi, czyli t. zw. ptomainy; inne jednak nieco w składzie chemicznym, nie wydziela w stadium początkowego rozkładu charakterystycznej woni.

Jakże więc odróżnić grzyb zupełnie świeży od grzyba już rozkładającego się, niebezpiecznego nawet dla zdrowia i życia, tem bardziej, że, jak wiemy, pierwszy od drugiego na oko niemal niczem się nie różni?

Otóż w chwili rozpoczynającego się rozkładu białka u grzybów występują dwie oznaki charakterystyczne, pozwalające upewnić się o ich świeżości. Pierwsza oznaka — to zmiękczenie się ich mięsa. Naciśnijmy wierzch kapelusza grzyba palcem: jeśli po odjęciu palca na powierzchni kapelusza pozostanie wyraźny dołek, to dowód, że mięso grzyba znajduje się w początkowym rozkładzie białka; u grzyba świeżego dołek pod palcem równie się zrobi, ale po odjęciu palca powierzchnia natychmiast się wyrówna. Jednem słowem: grzyb zdrowy, powiedzmy, zupełnie świeży, ma mięso elastyczne, a w początkowym rozkładzie — miękkie, ciastowate, wodniste.

Tu należy też pamiętać o starej zasadzie grzybiarskiej, że grzybów tego samego dnia po deszczu zbierać absolutnie nie wolno! Grzyb bowiem (ruskie „hub, huba”, jugosłowiańskie „gub, guba”, znaczące tyle, co „gąbka”) rzeczywiście, jak gąbka, łatwo i szybko nasiąka wodą; wodnisty zaś o wiele łatwiej ulega infekcji bakteriami gnilnymi, których dziełem właśnie są ptomainy, powstające w białku grzyba.

Stąd wniosek jasny: ponieważ u nas niemal co dnia „leje”, przeto winniśmy się wstrzymać z kupowaniem grzybów, nawet „prawdziwych”, aż do nastania dłuższej trwającej pogody.

Drugą oznaką początkowego rozkładu białka u grzybów jest oślizgłość skórki ich kapeluszy. Lecz oznaka ta pojawia się tylko u grzybów, przechowywanych w zbitej gromadzie przez kilkanaście godzin. Spójrzmy, co się dzieje na targowiskach w chwili ich zamykania. Oto przekupnie pakują niesprzedany towar w kosze, toboły, na wózki i t. p., zawożąc go albo do domów, albo też do przechowalni, które wydzierżawiają w pobliskich piwnicach, szopach, magazynach i t. p. Los niesprzedanych grzybów jest taki sam: przy olbrzymiej obecnie podaży, mnóstwo ich w chwili zamykania targowiska wędruje do worów, lub koszy, a potem do pobliskich przechowalni. W tym stanie przebywają grzyby w zbitej gromadzie, w nieprzewiewnym miejscu, od godziny 1-ej popołudniu

do godziny 6-ej rano, czyli godzin 18; to wystarcza najzupełniej do rozpoczęcia się rozkładu białka grzybowego, czego zewnętrzną oznaką jest oślizgła i nieco lepka skórka kapelusza.

Oto są „pozadomowe” przyczyny zatrucia grzybami. Historia to zresztą stara, jak świat! Powtarza się ona każdego roku, kiedy po miastach jest nadmierna podaż grzybów; nawet przy wyteżonej kontroli organów miejskich zatrucia gwałtowne, a niejednokrotnie śmiertelne, bywały i obecnie bywają po spożyciu nawet borowików, czyli t. zw. grzybów prawdziwych.

Ale, jak powiedziałem, są i przyczyny „domowe”. Do tych w pierwszym rzędzie należy przechowywanie grzybów przez noc w ciepłym miejscu. Historia tu ta sama, co z grzybami, niesprzedanymi na targowiskach. W pewnym klasztorze pod Warszawą zatruto się w r. 1924 bardzo groźnie 78 osób „prawdziwkami”, których zakonnicie nie miały czasu przyrządzić tego samego dnia po ich otrzymaniu. Z grzybami więc, jak z mięsem: jeśli mają pójść na stół dopiero na drugi dzień — to do zimnego sklepu z nimi, lub na lód i to po rozłożeniu ich z osobna na czystej desce, lub na czystych arkuszach bibuły.

Dalszą przyczyną „domową” jest wadliwe gotowanie grzybów. Ponieważ grzyb ma białko niemal zwierzęce i to o charakterze takim, jak np. mięso z polędwicy wołowej, przeto jasna rzecz, że im dłużej będziemy go gotować, tem będzie twardszy. Tak samo rzecz się ma z zawczesnem nasoleniem grzyba, boć i befszytk, nasolony przed smażeniem, będzie twardy, jak podeszew! Wreszcie pamiętać trzeba i o tem, że grzyb jest z natury oślizgły i dość ciężko strawny z powodu zawartości chityny (jest to jakby rogowa masa, z jakiej tworzy się np. twarda, elastyczna pokrywa skrzydeł chrabąszcza); jeśli zatem pokrajemy grzyby grubo, to, nie mogąc ich dobrze pożyć i połykając w kawałkach (tem łatwiej, że są śliskie), zapychamy nimi żołądek, wywołując szybko oznaki silnej niestrawności, więc gnicenie w dolku piorsowym, silne zawroty głowy, a nawet omdlenia i znaczne nieraz osłabienie mięśnia sercowego.

A gdy wkońcu dowiemy się i o tem, że spalone na popiół grzyby wykazują 19—57 procent soli potasowych i 8—39 procent soli fosforowych, to już łatwo zrozumiemy całokształt nonsensu dotychczasowego sposobu ich gotowania.

Jakże zatem należy gotować grzyby?

Oto, przede wszystkim, po dokładnem ich oczyszczeniu i obmyciu, pokrajać w plasterki grubości... papieru! Dosłownie: papieru! Wrzuciwszy je następnie do garnka (koniecznie tylko kamiennego, albo glinianego, bo gotowane w metalowych, mimo najlepszej emalii, wytworzą — skutkiem znacznych ilości soli potasowych i fosforowych — niebezpieczne dla zdrowia związki chemiczne), gotować na wolnym ogniu, zrazu bez żadnego dodatku, tak długo, żeby wrzały we własnym soku najwyżej 15 do 20 minut; następnie dodać masła (nie smalcu lub margaryny, broń Boże!) i gotować znów 5 minut, wreszcie posolić do smaku, wymieszać dobrze i podać na stół.

Tylko w ten sposób gotowane grzyby będą smaczne, lekko strawne, bardzo pożywne i bezwzględnie zdrowe!

Jeśli ktoś jednak, mimo wszystkie powyższe mądrości, obawiać się będzie jedzenia grzybów z miejskich targowisk, to i jemu dam radę niezawodną.

Oto grzybami już najzupełniej pewnemi, ba! ze

wszystkich grzybów świata najsmaczniejszymi i najbardziej odżywczymi, są — pieczarki hodowlane!

Nie te z kwaśnych łąk i pastwisk, których „zatręśnienie” na targowiskach — boć to przecie i w smaku nikłe, kwaskowate, i pożytku z nich dla ciała niemal żadnego — lecz pieczarki francuskie, na mierzwie końskiej i u nas już wreszcie racjonalnie hodowane!

Proszę porównać skład chemiczny takiej pieczarki i borowika (prawdziwka):

	białka	tluszczu	cukru	innych węglowod	chityny	sol mineraln.
borowik %	37,31	5,30	14,85	3,67	31,47	7,38
pieczarka hodowlana %	55,20	1,93	28,83		7,31	6,91

Pod mianem „inne węglowodany” rozumieć należy u grzybów takie związki chemiczne, które w pewnej mierze, zależnie od gatunku grzyba, zamieniają się w żołądku na cukier. U borowika ilość ich procentowa 3,67 pozostaje w organizmie naszym bez zmiany, gdy przeciwnie, w pieczarce hodowlanej te „inne węglowodany” zmieniają się w naszym żołądku w zupełności na cukier, z racji czego właśnie wyrażono je w powyższej tabeli w jednej cyfrze z cukrami (wedł. dr. J. Zellner: „Chemie der höheren Pilze”, Leipzig, 1907). Z tej to racji właśnie, o czym wielu ludziom w Polsce już wiadomo, a co i lekarze, jako rzecz zdrowotną, gorąco zalecają (dr. Breyer w Krakowie, znany homeopata i zielarz), wykwinutym wprost smakołykiem są pieczarki surowe, drobnutko pokrajane i posypane cukrem; pod działaniem cukru po kilku minutach pieczarki puszczaają obficie różowy sok; wtedy je można już jeść. Smakują, jak dobry melon lub ananas, a są bardzo lekko strawne i zdrowe. Kto nie wierzy, niech spróbuje! Również bardzo smaczne są pieczarki młodzieńskie, smażone w cukrze na konfiturę, jak też i mający już w Polsce swoją sławę niezrównany „Liqueur d’amour”, sporządzony z pieczarkowego syropu na 45 procent alkoholu!

Porównajmy zatem nasze korzyści! Oto ja hoduję z zapalem pieczarki, co mi daje niezmierną radość życiową i duże zadowolenie naukowe, zjadam się niemi co dnia, resztę sprzedaję z dużym zyskiem i nigdy nie drzę na myśl, że mogę się niemi otruć. Wy zaś: wydajecie moc pieniędzy na grzyby o wiele mniej wartościowe, kupowane na targowiskach, zjadacie je zawsze ze strachem, polecając przed ucztą duszę Bogu i zamawiając na wszelki wypadek pogotowie ratunkowe, niejednokrotnie zaś po grzybach takich chorujecie, a często i umieracie!

I któż teraz nie powtórzy za starorzymskim poetą Marcjalem, że: „Argentum atque aurum facile est mittere, lenamque togamque; boletos mittere difficile est!”.

Co znaczy: „Można się jeszcze wyrzec srebra i złota, nawet szczęścia miłości; ale wyrzec się potrawy z... pieczarek hodowlanych — niepodobna!”.

Prof. F. Teodorowicz.

JESIENNA SELEKCJA DROBIU W NASZYCH KURNIKACH

Jednym z najważniejszych warunków opłacalności hodowli drobiu jest umiejętne przeprowadzanie selekcji jesiennej.

Wiosną większość kur dobrze się niesie, w ciągu lata koszt ich utrzymania jest niewielki, jednak przed nastaniem jesiennych i zimowych miesięcy trzeba wybrać i pozbyć się z hodowli wszystkich kur, które są darmozjadami.

Przedewszystkiem zwracamy uwagę na zdrowotność zarówno wśród starych, jak i młodych sztuk; odrzucamy wszystkie chore.

Jeśli to jest choroba łatwa do uleczenia, albo jeśli mamy drób opanowany przez pasorzyty, to jesień jest najodpowiedniejszą porą do leczenia. W każdym razie wszystkie chore sztuki trzeba, albo zupełnie, albo czasowo usunąć. Z pośród zdrowego ptactwa eliminujemy zbyt dużą ilość samców i sztuki za stare do hodowli. Dla kur rasy lekkiej pozostawiamy jednego koguta na 20—25 sztuk, dla kur rasy ciężkiej jednego koguta na kur 10—15.

Kury, dobre nioski, chowamy zwykle 4 lata; w bardzo intensywnych hodowlach tylko trzy lata. Koguty dwuletnie są najlepsze; te, które mają ponad trzy lata, powinno się usuwać. Dla indyczek zostawiamy jednego indora na 10 indyczek. Zarówno samce, jak samice tego gatunku można używać do chowu 6—8 lat.

Wśród ptactwa wodnego przeznaczamy na jednego gąsiora 4 gęsi, na kaczora ras lekkich 5 kaczek, ras ciężkich, najwyżej 3 kaczki.

Pozostawianie większej ilości samców w niczem nie podnosi jakości hodowli; zwiększa koszt utrzymania drobiu, powoduje bójkę między ptactwem i w rezultacie jest przyczyną znoszenia przez samice niezapłodnionych jaj.

Wybierając samce i samice, które mają pozostać do chowu, poza ich wiekiem i zdrowotnością zwracamy przedewszystkiem uwagę na odpowiednie eksterieur. W hodowlach rasowych budowa i upierzenie musi ściśle odpowiadać standardowi danej rasy; w hodowlach, gdzie trzymamy drób nierasowy, wybieramy poprostu tylko sztuki dobrze wyrosnięte, z wczesnych wylęgów o ładnej i silnej budowie.

Chów gęsi, kaczek i indyków w naszych warunkach prowadzony jest przedewszystkiem dla mięsa, hodowla zaś kur, której głównym warunkiem opłacalności jest produkcja jaj, wymaga dokładniejszej selekcji.

Pośród kur, które odpowiadają wszystkim wyżej wymienionym wymaganiom zdrowia, wieku i wyglądu, nie powinniśmy zostawiać niosek, które wartością zniesionych w ciągu roku jaj nie przewyższają kosztów utrzymania. Naturalnie, w różnych hodowlach, zależnie od kosztów skarmianej paszy i ceny jaj, kalkulacja ta rozmaicie się przedstawia. Można jednak twierdzić, że kury, które znoszą mniej niż 150 jaj rocznie, nie przynoszą hodowli dochodu, i takie najlepiej przeznaczyć na rzeź lub sprzedaż.

Dla dokładnego przeprowadzenia tej selekcji, która jest bezwzględnie pierwszym warunkiem opłacalności hodowli kur, należy w ciągu całego roku prowadzić kontrolę nieśności. Wszystkie kury powinny posiadać znaczki skrzydłowe z numerami, albo obrącz-

ki z numerami na nogach. Osobiście, uważam znaczki skrzydłowe za praktyczniejsze, gdyż numery na znaczkach widać wyraźnie, podczas gdy obrączki na nogach zwykle są zabrudzone i trudne do odczytania nawet, gdy kurę trzymamy w ręku. Każdego dnia zapisuje się numery kur, które zniosły jajka, sumujemy ilość jaj zniesionych w każdym miesiącu przez poszczególne kury, a jesienią możemy zrobić dokładne zestawienie ich całorocznej nieśności.

Prowadzenie tej kontroli nie jest, naprawdę, tak kłopotliwe, jak się wydaje i może być wykonywane przez każdą gospodynię czy dziewczynę, która czyta i zna cyfry. Ułatwia robotę powieszenie na ścianie kurnika pokratkowanej kartki, która ma 31 rubryk poprzecznych, oznaczonych 31 dniami miesiąca i tyle rubryk pionowych, ile mamy kur w kurniku.

Ilość jaj każdego dnia zaznaczamy, stawiając kreski w odpowiedniej rubryce poziomej pod numerem kury, która ma jajko. W kurnikach, gdzie nie kontroluje się kur przez palpację, ale przyzwyczajają je do znoszenia jaj w gniazdach zatraskowych, co jest bezwzględnie lepsze, zapisuje się numery kur, wyjmując je z gniazd. Prowadząc kontrolę nieśności, dowiadujemy się nie tylko, które z naszych kur są najlepszymi nioskami ze względu na liczbę zniesionych w ciągu roku jaj, ale które niosą się w miesiącach zimowych, a więc wtedy, gdy jajka są najdroższe. Dobre nioski zimowe przedstawiają dla nas zawsze większą wartość, niż kury, które się niosą tylko w miesiącach wiosennych i letnich.

Jeżeli musimy przeprowadzić selekcję w hodowli, gdzie żadne zapisy nie były prowadzone, musimy przy wyborze najlepszych niosek kierować się ich wyglądem. Dobra nioska nie może być ani zbyt chuda, ani zapasiona, ma szeroko rozsunięte kości miednicy i dużą odległość między temi kośćmi, a kością sterową (mostek), co tworzy razem dobrze rozwinięty zad. Ścianki otworu odbytowego powinny być wilgotne, różowe i nie zaciśnięte. Kura powinna być wybitnie żeńskim osobnikiem, nie posiadającym żadnych samczych cech, z suchą głową, delikatnymi częściami skórnymi na głowie (grzebień zależy od rasy, nie jest cechą nieśności) i żywymi oczami. Jeszcze więcej niż budowa, jest oznaką nieśności zachowanie się kury. Ruchliwość, ciągle grzebanie, żerowanie do późnego wieczora, gdakanie cechują nieśną kurę.

Naturalnie, ten sposób selekcji wymaga praktyki hodowlanej i nigdy nie będzie tak dokładny, jak selekcja na podstawie książek gospodarczych. Z. P.

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA
zawia damia, że Dr. J. ŚWITALSKA
powróciła i ordynuje z kosmetyką lekarską i chorobami skóry od 10 — 12
od 6 — 7.

Krucza 31
Tel. 102-77
WARSZAWA.

364

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KOŁDUNY LITEWSKIE.

(na żądanie jednej z Czytelniczek)

Pięćdziesiąt deka mięsa kruchego ze zrazówki, krzyżówki, lub skrzydła przepuścić przez dobrze naostrzoną maszynkę, aby mięso było drobno pokrajane, a nie pogniecione. Tyleż łoju nerkowego posiekać jak najdrobniej nożem lub tasakiem. Dodać dwie spore cebule, utarte na tarce. Dolać pół szklanki zimnej wody, wymieszać doskonale, robić galki rozmiaru najmniejszego włoskiego orzecha. Tymczasem zagnieść ciasto z 70 dk. mąki pszennej z jajkiem (lepiej z dwoma żółtkami, bez białek), z odrobiną soli i wody; powinno być wolne, ale dać się zwalkować. Rozwalkować je jak najcieniej, kłaść rzędami galki, zawiązać na nie brzeg ciasta. Wycinać kieliszkiem małe pierożki. Są też specjalne maszynki, doskonale wycinające i jednocześnie ładnie zaciskające brzegi. W braku takich przyrządów mocno uciskać palcami brzegi, tylko nie robić żadnych ząbków, wałeczków i tym podobnych ozdób, psujących delikatny smak kołduna. Gdy wszystkie gotowe, rzucać na osolony wrzątek, przykryć na chwilę pokrywą. Po paru minutach, gdy na wierzch wypłyną, są gotowe. Wyjmuje się je łyżką durszlakową do wygrzanej salaterki z pokrywą, posypuje tartą bułeczką i natychmiast podaje. Wszelkie rumiane masło, sery, rosoly i barszcze są niepotrzebne. Ponieważ kołduny tylko bardzo gorące są smaczne, podaje się je zwykle na dwa razy, gotując najprzód jedną, potem drugą połowę. Im kołduny są mniejsze, tem są lepsze, gdyż kołduny bierze się do ust całe — przekrajane wypuszczają sok i smak przez to tracą. Dobrze jest podawać do kołdunów wygrzane talerze, jak do baraniny, gdyż w obu tych potrawach łój nie powinien zastygnać przed ich zjedzeniem.

KARP PO ŻYDOWSKU.

Ryba klasyczna, zjawiająca się na wszystkich stołach w dzień szabasu. Jest to przepis krakowski. Zabić dużego karpia, oskrobać z łuski, wypaproszonego osolić grubą solą i pozostawić tak na godzinę. Następnie opłókać, pokrajać na dzwona. W dużym rondlu przygotować pół kilo cebuli drobno pokrajanej, dziesięć migdałów obranych z łupin i posiekanych i ze dwadzieścia dużych rodzynek smyrneńskich. Na tem podłożu ułożyć karpia, osolić raz jeszcze, popieprzyć, włożyć dwie kostki cukru. Zalać wodą tylko tyle aby rybę objęło. Zakryć rondel pokrywą i gotować na wolnym ogniu półtorej godziny. Wyjąć bardzo ostrożnie dzwonka ryby, aby ich nie pokruszyć, ułożyć na głębokim półmisku, jak całą rybę. Smak ryby przetrzeć przez durszlak. Masę cebulową ułożyć na dzwonach ryby, resztę smaku wylać na półmisek. Smak ten zastygnie i uformuje galaretę. Dr. Pomian znajduje, że dodatek chrzanu z octem bardzo podnosi smak tej potrawy a rodzynki, migdały i cukier są zbędne. Ja uważam, że kiedy chodzi o narodowe, nieco egzotyczne dania, nie w nich zmieniać nie należy.

Pani Elżbieta.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Tego należy się nauczyć.

Dużo pisano w „Mównicy” o szczęściu w małżeństwie. Padały z obu stron zarzuty: to oni nie chcą przyszywać guzików, to one powinny słodzić i nalewać herbatę, to my na was pracujemy, jesteśmy zdeenerwowani i wskutek tego musimy mieć życie w domu ułatwione i umilone. Nie, to my, łącząc szereg obowiązków żony, matki, gospodyni i pracownicy zawodowej, dokładamy się w równej, a może większej mierze do utrzymania rodziny, trudzimy się stokroć więcej, a nigdy prawie nie mamy wypoczynku, itp., itp.

I jedna i druga strona mają rację, ale nikt nie pomyślał serjo, jakby radykalnie zmienić ten stan rzeczy od podstaw.

Proszę pań, do każdego zawodu ludzie przygotowują się poważnie, nikt po dyletancku nie będzie leczyć ludzi, a nawet szyc butów; tylko zawód małżeński, a co ważniejsze, wychowanie nowej rodziny można robić po partacku.

Co znowu! powie może nie jedna z pań, przecież dziś każda już prawie młoda kobieta zdaje sobie sprawę z tego, że, chcąc wyjść zamaż, powinna, obok wiedzy ogólnej, średniej i takiej lub wyższej nauki fachowej, zaznajomić się z gospodarstwem, wzorowo, podług nowoczesnych przepisów prowadzonem, i z zasadami pedagogiki.

No, przedewszystkiem nie tak bardzo każda, a po drugie znajomość gospodarstwa jest ważna, pedagogiki także, ale... to jeszcze nie wyczerpuje kwestji.

Najważniejszym warunkiem dobrego, szczęśliwego pożycia dwojga ludzi i to nietylko w małżeństwie, ale w niem głównie, jest ich wzajemne dostosowanie charakterów i upodobań, oraz zdolność postępowania jednej osoby z drugą.

Tę zaś zdolność, ten takty wycucia sytuacji, poznania charakteru towarzysza życia i sposobu postępowania z nim można mieć wrodzone, ale stokroć lepiej jest nauczyć się ich na pewnych, gruntownych zasadach wiedzy, psychologii.

Tak samo, jak w pedagogice, w sztuce nauczania i wychowania dzieci i młodzieży, podstawą jest psychologia, tak samo w stosunkach z ludźmi wogóle, a coś dopiero z tymi, z którymi wspólnie tworzyć mamy życie własne i życie rodziny.

Obok więc znajomości kunsztu gospodarstwa i prowadzenia domu, powinni młodzi ludzie (tak mężczyźni, jak i kobiety), umieć rozpoznać charakter współtowarzysza doli małżeńskiej i wiedzieć, jak z tym charakterem postępować.

Ubocznie zwracano na to uwagę podczas dyskusji w „Mównicy”; jeden z panów pisał bardzo szczerze i rozumnie o tem, że zwłaszcza młodzi ludzie o psychice kobiet nie mają żadnego pojęcia.

Śmiem twierdzić, że młode dziewczęta psychiki męskiej też zbyt dobrze nie znają.

Jeżeli należą do typu idealistek, to wymarzą sobie rycerza z bajki; jeżeli są materialistkami, będą szukały w małżeństwie dobrobytu i podpory życiowej, wymagając od męża, aby miał zdolność do interesów, robienia kariery i zajęcia lukratywnego stanowiska; jeżeli kierują się jedynie miłością (mniej lub więcej zmysłową), to nie zwracają wielkiej uwagi na spe-

cialne cechy charakteru wybranego i, dążąc do połączenia się z nim, mówią sobie: „jakoś to będzie”. A tymczasem wszystko to nie wystarcza. Niekiedy ujawniają się samorzutnie wrodzone zdolności wyznaczenia charakteru i sytuacji, zwykle po bliższem poznaniu człowieka; wtedy, o ile z temi zdolnościami łączy się i umiejętność postępowania, jest dobrze; o ile nie, jest gorzej, lub źle zupełnie.

To samo i u mężczyzn, z tą różnicą, że oni rzadko szukają w małżeństwie oparcia materialnego, kierując się, albo miłością, albo poprostu chęcią ożenienia się, albo (najczęściej, niestety) pociągami zmysłowym, lub nieraz i bez wielkiej ochoty, idą w mądrze zastawione sidła kandydatek do stanu małżeńskiego.

Przy tem wszystkiem, zwykle obie strony nie mają o swoich cechach charakteru właściwego pojęcia.

Psychikę ogólną męską kobiety zasadniczo znają lepiej. Są takie uniwersalne prawdy i wskazania, w rodzaju np.: „jak się irytuje, to mu ustąp”; „wszystko można przeprowadzić, byle mężczyzna miał przekonanie, że to on wszystkim rządzi” i tym podobne. Z jednej strony są one mocno przestarzałe, niedopasowane do warunków współczesnego życia a nierzadko i do godności nowoczesnej kobiety; z drugiej są za ogólne, i wcale do każdego stosować ich nie należy.

Że kobiety znają lepiej psychologję mężczyzn, dowodzi jeszcze i to, że częstokroć potrafią doprowadzić bardzo zakamieniałych kawalerów do ołtarza, ale... ta znajomość, bardzo dobra na użytek narzeczonych, też wcale nie zawsze wystarcza po ślubie, zwykle bywa przeciwnie.

Mężczyźni zaś są zupełnymi ignorantami na punkcie psychologii kobiecej; często młodzi ludzie patrzą przez zbyt różowe okulary, chętnie przypisują kobietom atrybuty „dziecinności”, zwykle niesłusznie; jeszcze bardziej niesłusznie, a bardzo powszechnie, lekceważą kobiecy umysł, zdolności i pracę.

To są dane, dotyczące znajomości wzajemnej psychologii obu płci, ale ważna jest przecież bardzo psychologia każdej jednostki. Otóż zarówno w jednym, jak w drugim punkcie konieczna jest znajomość psychologii, jako nauki, wiodącej do poznania charakterów, i ona winna być przedmiotem racjonalnych studiów każdej młodej kobiety i każdego mężczyzny.

Drugą ważną dziedziną wiadomości są stosunki prawne. W tym zakresie kobiety zwłaszcza orjentują się bardzo słabo, a jednak znajomość różnych przepisów prawa, regulujących najprostsze, codzienne sprawy życiowe, jest poprostu niezbędna. Ileż razy mamy do czynienia z Kasą chorych, wynajęciem lokalu, zapłaceniem podatku i nie umiemy kroku zrobić w tej sprawie; naturalnie kobieta zwraca się wówczas o pomoc do męża i nierzadko spotyka się ze złym humorem i z wymówką: „ty nigdy sama nie załatwić nie potrafisz”. A zresztą, jeśli nawet i tak nie jest, to zawsze nadaje to kobiecie jakąś cechę małoletności i niedoświadczenia. A coś dopiero, gdy chodzi o wypełnienie jakiegoś poważniejszego obowiązku, jak głosowanie, jak orjentowanie się w sprawach publicznych; wtedy naprawdę większość kobiet nie umie sobie poradzić, nie dla braku inteligencji, lub nawet braku znajomo-

ści ogólnych teorii, tylko właśnie wskutek niedostatecznej wprawy i znajomości przepisów prawnych.

A więc psychologja i prawo; niezaszkodziłoby też młodym kandydatom do stanu małżeńskiego trochę znajomości z zakresu ekonomji społecznej.

Gdzie się nauczyć tych umiejętności?

Czy nie należałoby utworzyć szkoły pożycia małżeńskiego?

Wiele razy o tem myślałam, jeszcze więcej od czasu rozpoczęcia dyskusji na ten temat w „Mównicy“. I oto niedawno przeczytałam, że takie szkoły powstają. Gdzie? Naturalnie, w Ameryce. Podobno otwarto już jedną w Bostonie i właśnie na pierwszym planie programu stoi psychologja, jako nauka, ułatwiająca poznanie charakterów, zaznajamiająca z różnemi, naukowo określonymi typami i pomagająca do ścisłego zdania sobie sprawy z cech psychiki własnej. A obok psychologji prawo, ekonomja społeczna, mój program poprostu!

Trudno, zabrały mi amerykanki pomysł!

Pocieszam się, że nieraz bywa gorzej, a szczerze cieszę się z tego, że widocznie mój pomysł jest życiowy, bo oto nietylko w Ameryce, ale już i w Europie pomysłało o czemś podobnem. W Budapeszcie powstaje „Klub małżeński“, który mieć będzie również sekcje, prowadzące wykłady prawa w życiu codziennem, psychologji i ekonomji, obok, naturalnie, nauki gospodarstwa, estetyki, rachunkowości etc.

A więc myślą o tem na świecie; czy nie moglibyśmy też pomyśleć i my?

Doskonalenie pożycia małżeńskiego jest sprawą pierwszorzędnej wagi i naprawdę należy ją rozważyć, nakreślić sobie dobrze przemyślany program tego doskonalenia, opartego o dane gałęzie wiedzy, i wprowadzić ten program w czyn.

Szkoła pożycia małżeńskiego powinna więc mieć w programie psychologję, prawo, ekonomję społeczną, pedagogikę, higienę, pielęgnowanie niemowląt, naukę gospodarstwa domowego, rachunkowość, estetykę, zdobienie mieszkań; dodałabym jeszcze dział, jakby go tu nazwać — zawierający wszystkie wskazówki kulturalnego uprzyjemnienia życia. A więc wskazówki, co czytać i jak urządzić bibliotekę domową; jak sobie dobrać towarzystwo i zabawić swych gości; jak się wybrać w podróż, na wycieczkę, na ładny i ciekawy spacer. Wszystkie te przedmioty powinny być obowiązujące dla obu płci. Bo jedno trzeba sobie powiedzieć: mężczyzna może nie koniecznie przyszywać sobie zawsze guziki, ale powinien umieć nie zaśmiecać mieszkania, nie robić wokoło siebie nieładu i znać się na technice prowadzenia domu, tak samo, jak i kobieta. Wtedy tylko dom ten będzie go interesował i wtedy zrozumie cały trud i całą doniosłość kobiecej, domowej pracy. Tak samo powinien ojciec umieć obejść się z niemowlęciem, znać psychikę dziecka, interesować się niem i prowadzić je wspólnie z żoną, od początku, a nie dopiero wtedy, gdy już... matka nie może z charakterem młodzieńca, czy panienki dać sobie sama rady.

Zadaniem takiej szkoły, czy kursu pożycia małżeńskiego byłoby więc teoretyczne i praktyczne przygotowanie młodych ludzi do stworzenia wzorowej rodziny. Wykłady mogłyby się odbywać, jak to jest w Ameryce i w Budapeszcie, w godzinach wieczornych, aby nie przeszkadzały studjom, lub pracy zawodowej. Rzecz prosta, że słuchacze i słuchaczki zapoznawaliby się wzajemnie na tych wykładach i że to poznanie mogłoby wpływać na kojarzenie się w przyszłości par małżeńskich. Byłby to napewno teren zdrowszy moralnie i o wyższym poziomie intelektualnym, niż np. dancingi.

Jakżeby chciała, aby panie wypowiedziały się, co myślą o moim projekcie!

W. B. — *Lwów*.

Żyje, choć odeszła.

Otrzymały przez Redakcję list poniższy świadczy, jak głębokie wrażenie wywiera wielkie dzieło Grossek-Koryckiej, „Świat Kobiety“, nietylko na kobiety, ale na myślące wysokie mi kategorjami naukowemi umysły męskie. Autor listu, nie wiedząc o śmierci ś. p. Koryckiej, pragnął wypowiedzieć Jej swoją opinię i raz jeszcze zwrócić uwagę kobiet na doniosłość psychologiczną Jej dzieła. Najistotniejszy cel listu nie jest już, niestety, osiągalny, pragnęliśmy jednak, aby czytelniczki nasze mogły zapoznać się z jego treścią, z faktem, jak szerokie kręgi wpływów zatacza książka i promieniejąca z niej umysłowość zmarłej autorki. To też, po porozumieniu się z p. dr. Czarnockim i za Jego pozwoleniem list niniejszy drukujemy. *Redakcja*.

Wielmożna i Droga Pani!

Może się Pani z tem zgodzi, że przymiotnik „wielmożny“ jest jednym z najoryginalniejszych i najcenniejszych zwrotów polskiej mowy: każdemu, do kogo się zwracamy, chociażby sumienie nasze miało wątpliwości, czy godzi się nazwać go „szanownym“, szczerze wielmożności conajmniej życzymy; do tego, kto nie, albo niewiele może, nie warto się zwracać.

Po przeczytaniu książki „Świat kobiety“, przymiotnik ten jest w oczach moich nietylko życzeniem, ale faktem w dużym stopniu dokonanym, już przez tę jedną książkę Pani bardzo wiele dobrego zrobiła i zrobić jeszcze może.

Drogim jest umysł Pani, odzwierciadlający się w tej książce, obejmującej dolę i niedolę więcej niż połowy ludzkości, drogi, dzięki wyjątkowo szczęśliwemu w nim zharmonizowaniu intuicyjności z logicznością.

Córka moja, nauczycielka przyrody, jak całe nasze sumienniejsze nauczycielstwo współczesne, należy do nadmiernie obarczonych i dzięki temu marnie ze zdawaniem egzaminu pedagogicznego.

Radzę jej, żeby tę książkę przeczytała, a już nie próżna pójdzie na egzamin. Dzięki francusko-polskiej przejrzystości stylu, daje ona tyle treści wychowawczo-życiowej, że fundamentalnie logiczny, niemiecki pedagog nie zmieściłby połowy tego w 3-ch grubych tomach. Oryginalną zaletą tej książki jest to, że nigdzie w jednostronność feministyczną nie wpada, że tak mało liczy na wytargowanie czegoś od mężczyzn, tak ideowo-praktycznie rysuje plan współpracy kobiet, ku poprawie doli ludzkości, przez poprawę ich własnej doli.

Przy tej poprawie może Pani trochę za wiele liczy na pomoc medycyny. Proszę nie zapominać, że jest to nauka-sztuka rodzaju żeńskiego i, jako taka, nie jest jeszcze kierowniczką życia, tylko, jak większość kobiet, nadmiernie obciążoną i skrzepowaną służebnicą.

W dodatku konieczność państwowa, konieczność dania całej Polsce tego, co już miały jej zabory zachodnie, zmusiła do pośpiesznego i lichego, według wzorów niemieckich, zsocjalizowania tego jednego „wolnego“ zawodu, kiedy żaden inny, z wyjątkiem żołnierza, zsocjalizowany nie został. Nie mnie Panią pouczać, jak ciężkie jest życie mas, nietylko „robotniczo-włościańskich“, ale i inteligenckich. Cierpią one z powodu złych warunków pracy, mieszkania, odżywiania, ubrania, najlichszego zaspokajania potrzeb duchowych. Mówiąc najogólniej, cierpią z powodu wynaturzenia. Rady na te różnorodne dolegliwości można by szukać nie inaczej, jak za gotówkę, której brak. Tylko medycynę kasową, z wyjątkiem zresztą włościaństwa i służby wiejskiej, które jej najbardziej potrzebują, mają darmo. Gdyby porada lekarska kosztowała choć tyle, co znaczek pocztowy, przychodnie kasowe miałyby nie więcej, jak jedną trzecią obecnej ilości „pacjentów“. A dziś, zapchane nimi, mogą

dać więdnącym od przeróżnych przyczyn niewiastom coraz to modniejsze zastrzyki i wogóle system dra Odczepnego. Poczciwy, lecz naiwny projekt ministra, dania masom kasowym za te same 3 grosze tego, co mieli tylko grubszy burżuaz, „lekarza domowego” da tylko nową tandetę i nowe źródło kasowych nieporozumień.

Mam nadzieję, że w nowym wydaniu książki, Pani z właściwą sobie intuicją i logiką wytknie Swoim Siotrom i Braciom szersze i krótsze drogi do wybrnięcia ze splotu wynaturzeń, jakie nas gnębią. Narazie drogi te są tylko dorywczo naszkicowane, w racjonalniejszym doborze zajęć dla kobiet, w zbiorowym pogańskim, choć raz na tydzień spotykaniu słońca przez ten jakiś wyjątkowo szczęśliwie dobrany zespół inteligencki. Zresztą moje 35-letnie doświadczenie lekarza-omnibusa i 65-letnie doświadczenie życiowe nie daje mi żadnych podstaw do zasadniczej krytyki tej książki, a pobudza do złożenia jej Autorce najserdeczniejszego życzenia jaknajwiększej wielmożności w Jej zacnych i mądrych usiłowaniach.

Dr. Napoleon Czarnocki.

O podręcznikach szkolnych (w odpowiedzi p. M. K. z Podlasia).

Współczucie Sz. Pani z powodu trudności uboższych rodziców przy zaopatrywaniu dzieci w podręczniki szkolne w zupełności podzielam, z większością Jej wywodów nie mogę jednak się zgodzić.

Możliwość, a zatem i obowiązek doskonalenia, zmian na lepsze, wcale nie jest dowodem, że daną pracę wykonano „na patatajkę”, że ludzie omaćkiem rzucili rzecz, nieobmyślaną poważnie. W każdej dziedzinie wyczynów ludzkich spotykamy postęp, i to jest objaw właśnie zdrowego życia. Gdyby podręczniki szkolne stanowiły wyjątek, gdyby mogły, raz opracowane gruntownie, trwać z pokolenia na pokolenie, byłoby to dowodem, że dana gałąź nauki, albo sama metodyka nie to, że osiągnęła szczyt doskonałości (nie osiągalne!) tylko: zatrzymała się w rozwoju, co byłoby katastrofalne. Wtedy naprawdę sama nauka byłaby skompromitowana, chociaż nią nie jest przez fakt, że były czasy, kiedy nie tylko w ortografii, ale w całym światopoglądzie uczonych było wykładane *ex cathedra* to, co dziś uważać musimy za grubą błąd, np. kształt kuli ziemskiej, pojęcia o ruchach ciał niebieskich i t. p. i t. p.

Przy ministerstwie oświaty oczywiście istnieje specjalna komisja oceny książek, rozpatrująca podręczniki szkolne przed ich zakwalifikowaniem (poleceniem, lub tylko dopuszczeniem) do użytku w szkołach. Uwzględnić jednak trzeba fakt, że prace tego rodzaju w języku polskim od dawnych, pełnych chwale czasów Komisji Edukacyjnej uległy stagnacji i obecnie dopiero się odradzają. W pracy nad ułatwieniem i udostępnieniem nauki najszerszym masom nie ustają nasi uczeni, wszelakoż głęboka wiedza nie wystarcza do stworzenia w danej gałęzi dobrego podręcznika na to trzeba jeszcze talentu specjalnego, intuicji odnalezienia dróg do przelania wiedzy uczonemu w głowę przeciętnego ucznia-dzieciaka. Trudno się zatem dziwić, że, pomimo wysiłków kompetentnej krytyki wyżej wspomnianej komisji, pomimo starań autorów, nie mamy jeszcze doskonałych podręczników szkolnych i nie możemy w tym kierunku zaniechać zmian, wskazanych przez praktykę, jak również przez nieustanny postęp w metodyce i w każdej poszczególnej gałęzi wiedzy.

Rujnowaniu się biedaków na te, wciąż nowe, podręczniki, należałoby zapobiegać na innej drodze. Może samo Ministerstwo powinno je wydawać, nie dopuszczając do spekulacji, co już mogłoby wyeliminować nieistotne zmiany w podręcznikach i niekonieczne ich zmienianie co roku, zapewniając jednak jednocześnie autorom honorarja, umożliwiające oddanie się pracy, ogromnie odpowiedzialnej i poważnej.

M. B. z Lubelskiego

Wieści z Grodna.

W kulturalnem życiu Grodna ogromną lukę stanowił w okresie ubiegłego sezonu brak stałego teatru. Po wyjeździe z Grodna „Reduty” Osterwy, teatr nasz przechodził różnorodnie, a oplakane koleje.

Dopiero teraz sprawa została definitywnie zakończona. Teatr miejski objął Z. A. S. P., tworząc drugą swą placówkę na terenie Rzeczypospolitej (pierwsza w Wilnie).

W dniu 6 września odbyła się inauguracja sezonu „Lillą Wenedą” Słowackiego.

Teatr ten będzie jednocześnie teatrem objazdowym na całe województwo białostockie.

Poszukiwanie nowych dróg kształcenia nauczycieli szkół powszechnych naprowadziło Min. W. R. i O. P. na myśl tworzenia rocznych kursów pedagogicznych dla maturzystów gimnazjalnych.

Do zakładów tego typu, w Brześciu nad Bugiem, Poznaniu i Lwowie, przybywa obecnie taki zakład i w Grodnie.

W początkach września nastąpiło otwarcie kursów, które prowadzić będzie kobieta, p. Bieniaszówna.

Czego jeszcze brak nam tu niezmiernie, to nauki gospodarstwa domowego.

„Dziennik Kresowy” rzucił myśl zorganizowania tego rodzaju kursów. Wobec braku odpowiednio wyszkolonej i fachowej służby domowej, kursy takie przydałyby się z pewnością, a wypuszczając w świat kadry fachowej służby, ileż zaoszczędziłyby nerwów i zdrowia pań, ułatwiając wogóle życie codzienne.

Bo tak, jak jest, jest źle i ciężko.

W tym roku Grodno święcić będzie trzy wielkie rocznice. Dziesięciolecie ofiary krwi w obronie wolności Ojczyzny, obrony Grodna i oswobodzenia go od najeźdźcy, to wspomnienie hekatomb, złożonej z własnych synów tej ziemi, z jej synów najmłodszych. W murach gimnazjum męskiego widnieją tablica z ich nazwiskami.

Druga rocznica, to 25-lecie walki o szkołę polską, walki niekrwawej, lecz jakże ofiarnej i cichej, a często męczeńskiej.

Wreszcie stulecie powstania listopadowego.

Wszystkie te rocznice mają ogromne znaczenie dla narodu, młodzieży zaś przypominają o obowiązku wysiłku w pracy dla wolnej Ojczyzny i dla dobra społeczeństwa.

Jadwiga Korulska — Grodno

Proszę o łaskawe zawiadomienie, kto zna rodzinę Ignacego Rozwadowskiego (ożenionego z Alojzą Iwanicką, córką Mikołaja i Marceli), spokrewnionego Z Reinami, emigranta z dawnej Rosji, w latach 1840-tych. Adres w Redakcji.

Marja O. R.